Sybir.

SYBIR

OBRAZY I WSPOMNIENIA



W WARSZAWIE
Nakładem Gebethnera i Wolffa
w Czerwcu
1916.

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung
Warschau, den 20|VI 1916. T. № 1549, Dr. № 149.

DRUK WŁ. ŁAZARSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 114.

Przedmowa.

Biały, bezbrzeżny step, pustka lodowata pod niebem ponurem i bezlitosnem, w którem niema Boga, a na tym stepie wlokąca się w kajdanach, skrwawiona od knuta, opadła z sił, duchem trzymająca się jedynie garstka wygnańców, oto obraz, jaki utrwalił się o Sybirze w sercu Polaka.

Sybir... sześć pokoleń polskich przeszło przez te straszliwe pola, sześć pokoleń „w katordze", „na osiedleniu", w Nerczyńsku, w Ussolu, w Wiłujsku, w kopalniach, kazamatach i chatach pustkowi stepowych użyźniło kośćmi swojemi tę okropną krainę wygnania i śmierci.

W poezyi po stepach tych błądzą anioły narodzone ze łzy Chrystusowej, w poezyi Anhelli, prowadzony przez szamana, w purpurze i złocie zorzy polarnej błądzi wśród tułaczy polskich, a duch umarłego drogą srebrzystą od księżycowych promieni wraca do Ojczyzny, ale w rzeczywistości ani aniołów tu niema, ani szamanów natchnionych a sprawiedliwych, ani ci, których tu zesłano, najczęściej już do kraju nie wra-

cają, lecz rzuceni do lodowatej ziemi sybirskiej pozostają w niej na wieki, do czasu, gdy zbudzi ich głos archanioła na sąd ostateczny dla ofiar i katów.

Od stu pięćdziesięciu lat Syberya, jak słusznie powiedział poeta, jest drugą ojczyzną Polaka. Pomiędzy jedną a drugą ojczyzną podobieństwo jest takie, jak między matką a macochą, lecz niewątpliwie życie każdego z energiczniejszych synów Polski pomiędzy 1794 a 1863-im rokiem obracało się pomiędzy krajem rodzinnym a tą daleką katorgą, a przynajmniej miał on ją nieustannie w pamięci i w oczach, słyszał o niej w opowiadaniach wieczornych w kółku rodzinnem, lękał się jej na jawie, śnił o jej grozie w nocy.

Więc czas już wielki, abyśmy poznali ową ziemię rozpaczy i udręczenia, my, którzyśmy potomkami tych, co ją krwawemi stopami przeszli i łzami swemi obleli. Czas, aby dziś, kiedy możemy to uczynić, pokazać w wiarogodnych opisach wygnańców, tajemnice sybirskich kopalni, okropności katorgi, tęsknotę zamieszkałych na pustyni tułaczy. Kiedyś stanie się to wszystko jak sen prześniony, straszny i złowieszczy, kiedyś ów lodowaty

„Sybir"

będzie symbolem cierpień Polski porozbiorowej, która odrodzona i szczęśliwa, postawi pomnik pamięci synom pomarłym za wolność i prawa ludzkie w owych odległych, groźnych przestrzeniach „drugiej ojczyzny Polaka".

A. O.

WYJAZD Z KAMCZATKI.

Okręt angielski, zostawszy naprawionym, odszedł w swoje przeznaczenie.

Pierwszych dni listopada, gdy brzegi oceanu dobrze zamarzły, robi komendant wyprawę azardowną do Ochocka, dokąd już kilka podobnych wypraw czyniono, lecz z tych ledwo dwie doszły, inne zaś, dla wielkich mrozów i napadu Czukczów lub innych narodów, dojść nie mogły.

Komendant jednak, dopełniając swego obowiązku, zaprzęga do trzysta psów i jeleni, zbiera świtę zbrojną, kilkunastu tłómaczów, ryb suszonych dla ludzi i psów, równie jak mięsa jeleniego na trzy miesiące przysposabia, i zamarzłymi brzegami oceanu w koło tej całej ziemi, dziesięć razy dalej, niebezpieczniej i trudniej jak morzem, puszczamy się w podróż. Do tej karawany i mnie policzono za największą prośbą i obligacyą ewangielisty, bo ko-

mendant nie chciał mię puścić, dając przyczynę, że żaden europejczyk nie zdoła tak wielkiego zimna wytrzymać, a prócz tego są jeszcze tysiączne przypadki, którym uledz można.

Około 15 listopada 1796 roku, zaczęliśmy się sposobić do podróży. Komendant kazał dla mnie zrobić sanki, gdzie pudło ułożone ze skór jelenich i niedźwiedzich mało się różniło od naszej karety: okno miałem ze śludy (kamień tak nazwany). Pojazd mój był bardzo ciepły, ile że miałem dwa psy żywe kosmate, bo inaczej nie wytrzymałbym zimna. Do tego jeszcze dał mi komendant na drogę kilka flaszek kamiennych spirytusu z traw tamecznych pędzonego, i to mi pomagało do ciepła. Lubo byłem bardzo słaby, jednak udawałem zdrowego, boby komendant nie pozwolił mi wybrać się w tę podróż.

Nauczono mię na miejscu, abym mój tytuń i różne cacka na cząstki małe porozdzielał i miał to w pogotowiu dla dania prezentów narodom, z któremiby się można było spotykać. Do mojego powozu miałem trzynaście psów zaprzężonych, dyszel rzemienny bez lejców, jeden tylko pies przewodnik idzie w zaprzęgu. Kamczadal zwykle, usiadłszy bokiem na przodzie sań, trzyma się za poklaski, lecz mając łyżwy na nogach, mało co siedzi tylko wraz z psami leci. W ręku ma sztoł, czyli kij gruby, z żelazem na końcu dla wstrzymania psów i sań: gdy bowiem usiłuje psy wstrzymać, obraca bokiem sanie i hamuje. Na wierzchu osztoła, jest wiele kółek żelaznych i dzwoneczków, czego się psy najwięcej boją, to służy na miejsce batoga. Pies do-

brany do przodkowania tak jest zmyślny, że biegnąc ustawicznie się ogląda na skinienie i słowa Kamczadala, w którą stronę ma się rzucić. Ponieważ żadnej drogi nie widać śladu, więc trzymają się brzegów ziemi, jadąc podług kierunku gór najwznioślejszych a nad brzegami Oceanu leżących, które i nazwiska swe mają.

Nastąpił dzień wyjazdu, odprawione było nabożeństwo: tameczny ewangielista pobłogosławił mnie i zrobił pamiątkę srebrną z napisami i wielu krzyżykami w tych wyrazach: „Tobie krzyżu kłaniamy się i zmartwychwstania drugiego oczekujemy“. Ten upominek drogi do dziś dnia u siebie konserwuję. Ów ewangielista, mając parafię swoją na pierwszej stacyi zmiany psów, gdzie między Kamczadalami wiele zamieszkało majtków i Syberyanów, a których przez kilka lat nie był widział, przy tej ekspedycyi wybrał się z nami dla stwierdzenia chrztów i ślubów.

Pierwszy raz jechałem takim ekwipażem. Było w ogóle ludzi do trzydziestu a więcej do sta psów. Cały ten bagaż najprzód był prowadzony z góry nad brzegi morza, ile że kolonia zawsze wysoko nad morzem stoi. Zaprzężono potem psy na równych lodach, aby się z miejsca nie plątały.

Krzyknęła razem cała świta najokropniejszym głosem i zabrząkali wszyscy swojemi osztołami, u których, jak wyżej nadmieniono, znajduje się wiele kółek i dzwonków. Wnosić tedy można, z jaką szybkością psy ruszyły: zdawało się, że od tak prędkiej jazdy powietrze głowę zrywa i cały już czło-

wiek został odrzucony. Pędzą one z całej siły aż się zmordują; potem już biegną powolniej. Sanie i psy idą po wierzchu zlodowaciałego śniegu, dla tego jest niezmiernie lekko; popasu nie bywa tylko nocleg. Nim z miejsca samego wyruszą wprzódy przez dwa dni psy głodzą, a stanąwszy na noclegu wybierają miejsca leśne albo gdzie morze wiele drzewa powyrzucało: tam dopiero psy wyprzężone zwinąwszy się w okręg zasypiają, a w godzin dwie każdy z nich dostaje po jednej rybce i tym pokarmem trwa całą porę.

Cała świta ma dość pracy, bo musi na każdym noclegu wielką w śniegu wykopywać jamę i sięgać aż do ziemi. Kopią ulice jakby do jakiego zrębu i niezmierne nakładają ognie. Wiatr tam nie dochodzi, prócz mrozu wielkiego. Ja do mojej z futer karety sypiać chodziłem; ubierając się dubeltowie, zawsze cierpiałem zimna największe, bo byłem chory.

Jak dzień nastaje, zaprzęgają psy i puszczamy się w dalszą drogę. Szóstego dnia zbliżyliśmy się do pierwszej kolonii ale nie mogliśmy trafić, bo mieszkania w ziemi zupełnie śniegiem zawiało. Niektóre psy, co bywały w tem miejscu, pokładły się i dalej iść nie chciały. Poznały, że w tych miejscach są mieszkańce: pospuszczano psy, niektóre z nich zaczęły szczekać i natychmiast odkryto kolonię, gdzie powychodzili Kamczadale i my z ekwipażami zbliżyliśmy się. Okno czyli luft okopcony był dymem, którędy po drabinie musieliśmy do lochów włazić. Ja, że byłem chory i bardzo grubo ubrany, spuszczono mnie na sznurach. Kobiety wszystkie

okurzały nas głowniami z dymem, abyśmy im zarazy lub ospy nie przywieźli. Usiadłem koło ognia i zacząłem gotować herbatę. Cukier lodowaty i kociołek miedziany miałem przywiązany do pasa, gdyżby to zaraz ukradli. Uderzony powietrzem smrodliwem owego mieszkania, zacząłem cierpieć wielkie nudności: wołam więc Ewangielistę, lecz go nie było, bo poszedł po korytarzach witać mieszkańców pracujących i bawiących się przy lampach swoich. Po niejakim czasie wraca Ewangielista do ognia i zaczynamy pić herbatę. Poprzynosili za nim wiele soboli, gronostajów i wyporków jelenich.

Mówi wtem do mnie Ewangielista, że ja, mieszkając przez lat dwa w niższej Kamczatce nie wiedziałem o ich skarbach, które się tam znajdują. Jakoż rozwija korę brzozową i pokazuje mi kilka grzybów suszonych powiadając, że one są cudowne, rosną na jednej tylko wyniosłej górze blisko wulkanu.

Uważ panie, rzecze Ewangielista, że te futra dostałem za grzyby i oni gotowi cały majątek oddać, gdybym ich posiadał więcej. Te grzyby mają taką własność, że kto ich zje, widzi swoją przyszłość. Ponieważ nie mogłem sypiać, radzi mi więc, abym zjadł jeden. Wahałem się długo, lecz namyśliwszy się zjadłem połowę, co mi najmilszy sen sprawiło. Ujrzałem się nagle w najprzyjemniejszych ogrodach, wśród rozlicznych kwiatów, między kobietami ubranemi w białe suknie, i fetowały mnie różnemi owocami i jagodami i tysiące innych przyjemności. Spałem dwie godziny więcej nad mój sen zwyczajny.

Na drugą noc namawia mnie abym zjadł całego. Ja byłem już odważniejszy, zjadłem grzyb cały i w kilka minut zasnąłem. Obudziłem się w godzin kilka, niby posłany z tamtego świata, aby mnie ten ksiądz wyspowiadał. Mogła być północ, gdy zbudziłem Ewangielistę, który wziął stułę i mnie spowiadał. W godzinę zasnąłem znowu i spałem aż do dwudziestu czterech godzin. Nie śmiem o moich w tym śnie okropnych widzeniach nadmieniać; przez com przechodził i com widział. Później przywiódł mnie ten grzyb do wielkiej niespokojności i melancholii, bo temu wszystkiemu długo wierzyłem. Ostrzegłem też mojego Ewangielistę, co on złego robił, aby się poprawił. Bo to wszystko widziałem i przyszłość swoją: co mnie tem więcej czyniło niespokojnym, że później niektóre z tych sennych marzeń sprawdziły się na jawie. Nadmieniam tylko, że od powzięcia rozumu, czyli od lat pięciu lub sześciu, postępowanie całego życia w dalszych latach; wszystkie osoby, jakie tylko znałem w życiu i z któremi przyjaźń mnie łączyła; wszystkie zabawy i czynności z kolei, dzień po dniu, rok po roku, i przyszłość następną, wszystko to widziałem przed sobą.

Po wypoczynku trzechdniowym pobłogosławił mnie Ewangielista i pożegnał się ze mną. Zrobiwszy zapasy żywności dla psów i ludzi, niektóre słabsze psy pozamieniawszy, wzięliśmy dwóch nowych przewodników i puścili śmy się w dalszą podróż.

Przez kilkanaście dni nie widzieliśmy żadnej kolonii. Potrzeba było jechać blisko ziemi Czukczów,

byliśmy w największej obawie aby się z nimi nie spotkać, co nas później nie minęło, ponieważ oni zawsze napadają i rozbijają nie cierpiąc Syberyanów i Moskalów.

Mieliśmy dla nich niektóre przygotowane prezenta w tytoniu, szkiełkach i innych cackach; do tego jeszcze mieliśmy tłómacza, który dobrze posiadał ich język, a mimo największego pośpiechu w jeździe nie mogliśmy ich uniknąć. Do trzydziestu Czukców, jadących na jeleniach z polowania, niektórzy w czółnach, bo taki mają zimowy ekwipaż, napadli na nas. Tłómaczowi winniśmy ocalenie życia. Ten demonstrował im najprzód; że wiozą człowieka z niewoli, który równie jak i oni bił się za swoją ziemię; dziś go wraca i wzywa Car biały, o którym prorokinie im opowiadają, że jest bardzo skrzydlaty i po kilka światów unosi. Mieli z sobą wiele soboli poprzewieszanych z mięsem, bo w sidła były łowione. Przyskoczyli najpierw do mojej kibitki, zdarli kaptur futrzany i przypatrywali się twarzy, którym ja zaraz przygotowane prezenta dawałem. Byli z tego bardzo kontenci i wzajemnie rzucili do mojego powozu kilkanaście soboli i trzy lisy na pół czarne. Tak tedy niespodzianie i szczęśliwie rozstaliśmy się z nimi, którzy przed kilku laty dwie ekspedycye posłane rozbili. Wszyscy więc Kamczadale i cała świta była mi wdzięczna za swe ocalenie, a najwięcej tłómaczowi, któremu zrobiliśmy składkę w tytuniu i innych cackach.

Na każdem miejscu nocleg odbywał się pod gołem niebem, gdzie w najtęższe mrozy wypadało

zawsze śnieg kopać i dobierać się do ziemi dla rozłożenia ognia, o czem wyżej nadmieniłem, mówiąc jakim sposobem psy karmią i noclegują.

Przybyliśmy do kolonii, czyli miasteczka do kilku set domów zwanego Iżygińsk, a zamieszkałego przez wielu Syberyanów i Moskali.

Była tam komenda do kilkudziesiąt ludzi zbrojnych, dla zasłonienia narodów przed napadami Czukczów. W tem to miejscu spoczęliśmy dni kilkanaście, ponieważ byłem słaby bez nadziei życia. Słabość moja powiększyła się jeszcze, gdy mnie z zimna do ciepłego domu wniesiono. Nie było doktora gdzieby się zaradzić, tylko niejakiś stary, odstawny żołnierz puścił mi krew w ilości pół garnca i tem bardziej mnie osłabił. Z owej krwi w godzinę zrobiła się czarna woda. Dostałem największych potów, z oczu strumieniami woda się lała; dławienia ustawiczne i milionowe kłucia na całem ciele. Po kilkunastodniowym wypoczynku mało mi się polepszyło; jednostajne symptomata nie odstępowały.

Na drugi miesiąc przybyliśmy do portu Ochocka, zkądem się wprzódy był ambarkował na okręcie. Byliśmy napadnieni od burzy ziemnej, w której śnieg tak się kręci, że wśród dnia ciemność nocna nastaje. Gdyby nam przyszło było stać kwadrans na jednem miejscu, zostalibyśmy niechybnie zasypani z całym ekwipażem; lecz my natychmiast uciekliśmy pod skały lub do gęstych borów, spiesząc niekiedy psom na ratunek, aby nie poginęły w śniegu; trwała ta burza blisko trzy dni. Zabrakło nam żywności a jeszcze na dni kilka byliśmy od Ochocka odlegli.

Dla oszczędzenia żywności dla psów, Kamczadale byli zmuszeni zjadać psy same. Już nam przychodziło ginąć w tem miejscu. Psy, nie odbierając swej porcyı zwyczajnej, na siłach ustawały i między sobą się gryzły rozrywając słabsze. Żadnego futra, rękawic ani kaptura przed nimi położyć nie można było, bo to wszystko z głodu porywały i zjadały. Ja miałem cokolwiek jeszcze żywności, jako to: mięso odgotowane jelenie, trochę ryb więdłych i część małą okruszyn sucharów w woreczku skórzanym, co mi komendant udzielił na drogę. Miałem prócz tego herbatę i trochę wódki, a ten cały mój magazyn, idąc spać, pod głowę kładłem, gdyżby mi to ukradziono.

Wypadało nam jeszcze przebywać miejsce z całego wojażu najokropniejsze, przez górę bardzo wyniosłą, którą Rosyanie i Syberyanie nazywają *Babuszka*.

Właziliśmy na tę górę z niewypowiedzianą trudnością. Przez kilkanaście dni, nieraz sanie i psy w tył się cofały. Spuszczaliśmy się z jej wierzchołka, mając u nóg niby łyżwy nabijane gwoździami, podobne do szczotek. Za siedzenie służyły nam małe czółenka z rzemieni, a na ręku rękawice z gwoździami. Psy wyprzężone same się spuszczały zlatując kłębkiem tak oplątane, że się wstrzymać nie mogły. Ekwipaże staczano, my zaś wszyscy zjeżdżaliśmy na owych czółenkach. Niebezpieczeństwo, a raczej niepodobieństwo było przeprawić się przez tę górę, gdyby nie krzaki cedrów wyglądających z pod śniegu za któreśmy się chwy-

tali, straciwszy równowagę niewątpliwa czekała nas zguba.

Spuściwszy się z owej straszliwej góry spotkaliśmy Tunguzów z wielką trzodą jeleni, u których znaleźliśmy podostatkiem wszelkiej żywności dla siebie i psów. Tunguzowie byli nam wielce radzi; zabili młodego jelenia, którego język sam gotowałem i bardzo był smaczny. Tu wszystkie narody na każdem weselu i biesiadach nim traktują i bez niego obejść się nie mogą.

Nazajutrz przybyliśmy do portu Ochocka, skąd dawniej wypłynąłem, udając się do niższej Kamczatki.

(Józef Kopeć — „Dziennik podróży" — Lwów.)

NA OSIEDLENIU.

W miesiąc przeszło po mojem do Tobolska przybyciu, t. j. dopiero we wrześniu, rozpoczął się na dobre ciąg partyi wygnańców za sprawę emisaryuszów. Wtedy, jedni z pierwszych, przybyli: Czermiński, Gustaw Zieliński (autor „Kirgiza“), Rościszewski, bracia Chełmiccy i inni. Już poznajomiony z wielu dygnitarzami w Tobolsku, mogłem moimi zachodami niektórym rodakom dopomódz, i tak pomimo najsurowszych rozkazów, ażeby Polaków nie zostawiać w zachodniej Syberyi, a posyłać ich dalej do Syberyi wschodniej, udało mi się, że Czermińskiego przypisano do miasta Iszymu w gubernii Tobolskiej, gdzie już około dwunastu znajdowało się Polaków; Gustawa Zielińskiego, do którego braterstwa ciotecznego przyznałem się, pozostawiono w samym Tobolsku; a Juliana Rościszewskiego, rzempolącego trochę na skrzypcach,

na prośby moje przyłączono do tobolskiej orkiestry. Nie na wiele mu się to wprawdzie przydało, bo w kilkanaście dni później, z niewiadomej przyczyny przenieśli go do Iszymu, to tylko zyskał, że pozostał w zachodniej Syberyi, i, że w Iszymie, połączył się z krewnym swoim Czermińskim, a wkrótce potem przyjął służbę u propinacyjnego dzierżawcy Gorochowa i pracą powiększył swoje dochody, a uczciwością i ścisłością w obowiązkach pozyskał zaufanie i szacunek.

W pierwszych dniach po przyjeździe, Zieliński, stanął u mnie w mojej chałupce, gdzie z Pietraszkiewiczem mieszkałem. W późnej jesieni, gdy nam ciasno było, przenieśliśmy się do domu na ulicy Małej-Archangielskiej i zamieszkaliśmy znowu we trzech: ja, Zieliński i Dotkiewicz. W domu tym mieszkał kiedyś Kotzebue w czasie swego wygnania. Pierwszą zimę przepędziliśmy, pracując i żyjąc w małem kółku towarzyszów, a każdego dnia, prosząc Boga i oczekując uwolnienia, które nie nadchodziło i nadejść nie miało. Na wiosnę, nie pamiętam już dla jakich powodów rozłączyliśmy się z Dotkiewiczem, i najęliśmy mieszkanie u nowo ochrzczonego Tatara. Mieszkanie bardzo schludne składało się z trzech pokoi, jeden ja zajmowałem, drugi zajmował Zieliński, a salonik niby był wspólny. Do usług mieliśmy żołnierza, Polaka; Żłobickiego, danego mi z muzyki, jako denszczyka, i kucharkę nazwiskiem Parentiniowę, żonę żołnierza, także Polaka, a która za mężem przyszła na Syberyę. W skutku zasług kulinarnych, które

Gustaw jeszcze w Ludwisarni ocenić umiał, była gospodynią naszego małego gospodarstwa.

Syberya niewypowiedzianie jest trapioną przez rozmaite robactwo, nadewszystko przez pluskwy, których niezliczona moc wszędzie się znajduje; zdawałoby się, że to jest ich właściwa ojczyzna. Kto nie widział tego i nie doznał, nie może mieć o tem wyobrażenia i uwierzyć nie zechce. Domy są tam zwykle drewniane, z okrąglaków stawiane, wewnątrz pokoje wyklejają na mech, obiciami papierowemi, które tam są bardzo tanie. To sprzyja nadzwyczaj ich mnożeniu się, i nie ma pokoju w Tobolsku, w którymby bilionu pluskiew nie było. Oddarłszy arkusz obicia, ujrzy się ich tysiące. Wchodząc na nowe mieszkanie, pierwszem naszem staraniem było pozbyć się tego robactwa; oddzieraliśmy więc obicia, całe ściany wycieraliśmy terpentyną i, jeżeli można było bez niebezpieczeństwa, zapalaliśmy ją, a potem dopiero wyklejaliśmy nowemi obiciami. Zapach terpentyny ustępował po kilku dniach wietrzenia. Nie było nic śmieszniejszego, jak zadziwienie moskali, gdy widzieli te czyszczenia nasze; ruszali ramionami, mówiąc: „bez mozgłyj Polak kłopy boitsia“, im albowiem żadnej pluskwy nie robią różnicy; owszem tak są zabobonni, że sądzą, iż im więcej jest w domu jakim robactwa, tem większe błogosławieństwo spływa na mieszkańców jego. Pluskwy tak są rozmnożone w Tobolsku, że zdarzało nam się widzieć, jak w lecie wędrowały z domu do domu całym sznurem, jak mrówki.

Drugą plagą mieszkań w Syberyi jest robactwo nazwane tarakany, (po naszemu karaluchy). Są dwojakiego gatunku, małe kasztanowate, zwane u nas prusakami, które trylionami obsiadują ściany, a za wniesieniem jedzenia jakiego lub napoju gorącego z parą, krociami z sufitu opadają. Za wniesieniem zaś światła wieczorem, milionami po ścianach się ruszają, tworząc jakby w olbrzymim kalejdoskopie różne grupy i obrazy. Robactwo to w nocy jak się dostanie do obnażonej części ciała, obgryzie skórkę zupełnie, tak, że się zrobi bolesna rana, jakby po wizykatoryi. Drugi rodzaj, czarny, duży, podobny do krówek lub żuków, tylko daleko większy od nich, kryje się po kuchniach, około pieców i po miejscach ciepłych, gryzie on także, ale nie tak często, lecz jest nadzwyczaj obrzydliwy, bo zabity rozlewa się w paskudną masę białą, cuchnącą i plamiącą. Tych nieprzyjaciół tępiliśmy innymi sposobami: w zimie na dni kilka przed wprowadzeniem się otwieraliśmy drzwi i okna, nie paląc w piecach, a mróz trzaskający wymrażał ich; a w lecie na parę dni przed wprowadzeniem posypywaliśmy podłogę mąką grochową, zmieszaną z arszenikiem i z małą ilością cukru. To wszystko kropiło się gorącą wodą i zostawiało przez noc. Nazajutrz robactwo potrute trzeba było wyrzucać szuflami na korce, a od smrodu powstałego przez kilka dni przewietrzać mieszkanie.

Oczyściwszy jak można, wprowadziliśmy się do domu Tatara i tam może najszczęśliwsze przeżyłem chwile mego wygnania, mieszkając z człowiekiem,

którego kochałem i szanowałem, i któremu Bóg tak wzniosłą dał duszę, obok talentu poety. Chociaż jakie i trafiły się nieprzyjemne zdarzenia, takowe zagładzała przyjaźń wzajemna i współczucie. W czasie tego wspólnego zamieszkania, oceniłem dostatecznie Gustawa Zielińskiego jako człowieka i jako poetę. Nie męczył się on nad klejeniem wierszy jak zwykli wierszokleci, lecz najczęściej w chwili samotności, w zamyśleniu z natchnienia improwizował po kilkaset wierszy na raz, później dopiero w całości je na papier przelewał. W tych czasach stworzył poemat p. t. Samobójca, a ktokolwiek zna okolicę Tobolska, pozna je w czarownych obrazach tego poematu.

Ciężko to jest z Olimpu zstąpić na ziemię, lecz na tym padole ziemskim rozkosze niebieskie są tylko chwilowe, do których dusza i serce czasem się podnosi, ale życie zwykłe jest poziome, bośmy z błota i w błocie żyć musimy. Jeżeli rozkosz unosi nas ku niebu, przeciwności i cierpienia tłoczą nas do ziemi; z ziemią wszystko się kończy, a przeszedłszy dopiero grób ziemski, czeka nas nadzieja innego życia, innej szczęśliwości. Te smutne i abstrakcyjne myśli wywołało wspomnienie jednego tylko osiołka, lecz któż to był ten osiołek?

Dom, w którym zamieszkaliśmy, stał na ulicy niebrukowanej, pełnej śmieci i innych nieczystości. Powracając raz z miasta późno wieczorem, w czasie słotnym, i przebierając w błocie, gdy zbliżyliśmy się do domu, usłyszeliśmy jakiś pisk w kałuży. Sami nieszczęśliwi, i serca mieliśmy pochopniejsze

do litości; zaczęliśmy szukać i znaleźliśmy szczeniaka kilka dni mającego, którego jakiś nieczuły człowiek chciał zapewne w kałuży utopić. Szczeniak się wygramolił i piszczał, wzywając matki. Jednem uczuciem przejęci schyliliśmy się po niego i, otuliwszy płaszczem, przynieśliśmy do domu, powierzając go staraniom kucharki, która z chęcią go przyjęła i, nakarmiwszy mlekiem, położyła w usłane z waty łóżeczko. Pod jej opieką szczenię odżyło i w kilka tygodni w dziwnego wyrosło psiaczka, albowiem trudno go było zaliczyć do jakiego znanego już psów gatunku. Był mały, myszaty, z cienkim ogonkiem i potwornemi stojącemi uszami. Te uszy jednomyślnie zyskały mu nazwisko osiołka. Równie od nas kochany rósł szczęśliwie w siłę pod macierzystem okiem Parentyniowej, która go kochała, ale i nie psuła zbytniemi pieszczoty, owszem, od złych narowów go oduczyła i przyzwyczaiła do ochędóstwa i czystości. Osiołek był naszą rozrywką i kochał nas całem psiem sercem. Przepraszam, bo posiadał lwie serce; chociaż mały, z nieustraszoną odwagą rzucał się na każdego obcego przychodnia, a kotów nienawidził, jak Polak Niemca. Gustaw, zawsze dbający o rozszerzanie oświaty, zajął się jego edukacyą. Ale gdzież jego radość bez smutku, pogoda bez deszczu, bogactwo bez nędzy? Naprzeciwko okien naszych na ulicy była wielka kupa śmieci, na którą w piękne czasy schodziły się psy z całego miasta, i osiołek także. Ganiliśmy mu to nieraz, ale to, „jakby na psa łyko wdział“. Dnia jednego z Gustawem siedzieliśmy w oknie, gdy

zgraja psiej Tobolskiej młodzieży na owej kupie nuż w pląsy, gry niewinne i zalotne zabawy; między niemi gburowatością odznaczał się wyżeł żandarmski, który, w nadskakiwaniach osiołka upatrując coś politycznego, schwycił go za kark. Wybiegliśmy z Gustawem na obronę psiny naszego, lecz już było za późno. Pies żandarm go zadusił, a drugie psy go rozszarpały i uciekły. Taki smutny był koniec poczciwego osiołka.

Sens moralny: w Moskwie niebezpiecznie rywalizować z żandarmem w miłości.

W czasie jednego z paroksyzmów trwogi, o jakich wspominałem, postanowiono Zielińskiego wyprawić z Tobolska do miasta Iszyma na mieszkanie. Rozstawanie się nasze było bolesnem. Sam pozostawszy, nie mogłem tak drogo płacić za mieszkanie (25 r. assygnacyjnych, tj. trochę więcej jak 7 r. sr. miesięcznie), prócz tego opał i utrzymanie kucharki. Nająłem więc mieszkanie w oficynie domu Potapowa na placu paradowym, lecz przed samem wyprowadzeniem się na dawnem mieszkaniu miałem scenę, o której warto wspomnieć, bo nie każdy ujrzeć może takie widowisko, charakteryzujące zwyczaje.

Naprzeciwko zajmowanego przezemnie mieszkania, na drugiej stronie ulicy znajdował się dom dosyć obszerny, do drzwi wchodowych prowadziły schodki z ulicy, a przed temi była obszerna kałuża. W domu tym zamieszkiwał wspomniany przezemnie urzędniczek, co nam listy roznosił, przezwany przez nas Małpozwierzem. Był szczupły i mały, a żonę

miał ogromną i tłustą babę, która nielitościwie tłukła go za pijaństwo. Często krzyki i kłótnie wabiły nas z Gustawem do okna; otóż i po odjeździe Gustawa podobne krzyki do okna mię ściągnęły. Małpozwierz miał widać ochotę wybiedz gdzieś na hulankę, lecz żona stanęła we drzwiach wchodowych, wzbraniając wyjścia. Małpozwierz, najpieszczotliwszych używając wyrazów, błagał ją, a gdy baby zmiękczyć nie mógł, udał się do ostateczności: zniżywszy głowę, uderzył naprzód, chcąc przejść, jak pod kolosem rodyjskim; baba, zmiarkowawszy, że on się tamtędy prześliznąć usiłuje, przysiadła go i dalej kuć pięściami po części, do której była obrócona twarzą, wrzeszcząc z całego gardła: „niet, nie pajdiosz szelma“. Małpozwierz zaś dobył wszystkich sił i jął wynosić babę na sobie z domu. Takiego centaura ujrzałem we drzwiach, ale nie dosyć tego, bo gdy przyszło zleźć po schodkach, Małpozwierz zsunął się po nich na pysku, chybiwszy schodów ręką, a baba zakreśliwszy parabolę, zanurzyła głowę w kałuży. Porwali się na nogi. Małpozwierz, nie tracąc czasu, umknął w ulicę, zanim baba błoto wypluła. Widząc już zdala małżonka, szereg obelg i przekleństw puściła za nim, i to tak dzielnie, jak w „Panu Tadeuszu“:

> Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
> Że Wojski wciąż gra jeszcze — a to echo grało.

tak i ona, bo po jej odejściu wszystkie zakątki jej krzykiem brzmiały.

Nowe mieszkanie moje znów z robactwa czyścić byłem przymuszony z wielką uciechą gawiedzi,

która pojąć nie mogła dla czego robią to Polacy. Był to już schyłek 1835 roku i silne zawitały mrozy. Pierwsze dni po przeprowadzeniu się mojem zasmucone zostały okropną wiadomością o wypadku Chełmickiego.

Chełmiccy bracia Roman i Eustachy zesłani byli do miasteczka Narim w Tomskiej gubernii o 600 wiorst od Tomska ku północy. W miasteczku tem, tysiąc kilkaset ludności liczącem, był niejaki Sacharow zasiedatielem (podsędkiem) i gorodniczym zarazem.

Znajdowało się tam również kilku innych wygnańców. Po kilku miesiącach mieszkania, Roman Chełmicki poszedł do kupca po herbatę i zastał tam pijanego już Sacharowa, który do wchodzącego Romana odezwał się: „sztoż to Roman Fadiejewicz (syn Tadeusza) nie znajesz szto siewodnia dień majewo angieła (imieniny), wypijka riumoczku za mojo zdorowje“. „A i owszem panie naczelniku, odpowiedział Roman, ale ja wódki nigdy nie piję; panie kupiec, daj mi kieliszek wina, abym wypił je za zdrowie naczelnika“, i z podanym sobie kieliszkiem obrócił się do zasiedatiela winszując mu imienin, gdy ten krzyknął: „ach ty wornaka (włóczęga, wyrażenie pogardliwe), to ty smiejesz wino pit', kahda twoj naczalnik potczywajet tiebia wodkoju“, i silnie uderzył go w policzek. Roman Chełmicki choć mały i szczupły, tak silnie oddał policzek zasiedatielowi, że ten nakrył się nogami, i krzyknął: „karauł!“ Na ten głos wpadło kilku w sieni będących kozaków. Zasiedatiel zawołał:

„kataj jewo plet'mi buntowszczika!“ Kozacy też porwali Romana, rozciągnęli i zaczęli bić batami. Chełmickiego zostawili wpół martwego. W takiem małem miasteczku wieść o tym wypadku rozeszła się lotem strzały. Nadbiegli natychmiast brat Romana Eustachy i inni koledzy, zbitego Romana zanieśli do domu, gdzie kilka tygodni przeleżał. Nazajutrz zasiedatiel wytrzeźwiawszy, przysyłał pośredników, ofiarując 1000 r. asygnacyjnych (blizko 300 r. sr.), byle skargi nie podawał Chełmicki. Lecz Chełmicki pieniędzy nie przyjął i skargę podał. Pomimo najlepszego usposobienia jenerała Sulimy, przeniesiono tylko Chełmickich do Iszyma, a zasiedatiela oddano pod śledztwo i translokowano go na inną posadę, bo i cóż można było więcej zrobić? Zasiedatiel twierdził, że Chełmicki zelżył go słowami; zeznania Chełmickiego, jako posileńca wiary nie miały, a świadkowie, jak to w Moskwie, nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Może się dziwnem wydawać takie lekceważenie przysięgi przez świadków, lecz powiem tu, co się mnie samemu zdarzyło:

W muzyce był Polak Chojnowski, wpada on raz do mnie z rana, uskarżając się, że go urjadnik Karnauchof, ukarał setką kijów w obliczu wszystkich bez żadnej przyczyny. Rozgniewany biegnę z nim do koszar, gdzie wszystkich zostaję muzykantów obecnych, przypadam do Karnauchowa, pytając się, za co ukarał Chojnowskiego. Urjadnik, stojąc, jak we froncie, odpowiada spokojnie, że go bić wcale nie kazał. Odwracam się do muzykan-

tów i pytam o to samo, wszyscy w jeden głos odpowiedzieli: „ni kak niet“. Do ostatniej przyprowadzony passyi, kazałem Chojnowskiemu zrzucić odzienie i pokazać im rózgami i kijami posieczone ciało; zapytałem a to co? Znowu jednogłośnie odpowiedzieli: „nie możem znat' wasze błahorodie“. I przysięgniecie? pytam ich. „Prysiagniem“, odrzekli.

Moskal na gorącym nawet złapany uczynku, nigdy się nie przyzna. Należałoby mi wszystkich kazać bić bez miłosierdzia, nie mogłem tego zrobić, nie miałem serca kazać bić niewinnych z winnymi. Kara skończyła się tem, że kazałem im grać cały dzień, aż do wieczora.

Przez cały ciąg siedmiu lat mego kapelmajstrostwa ani razu nie uderzyłem nikogo, chociaż miałem do tego prawo. Obmyśliłem środek który na ich moralną stronę podziałał więcej jak kara cielesna, do której od dzieciństwa są przyzwyczajeni i dla tego też nie robi na nich wrażenia. Skoro który na karę zasłużył, a trzeba wiedzieć, że cały chór muzyczny składał się z największych łotrów i pijaków, kazałem winowajcy ubrać się w paradny mundur, pulpit wynieść do wychodka, zabrać z sobą nuty, i tam grać pół godziny, godzinę całą lub dwie. Miejsce to, jak w koszarach, licznie bywa uczęszczane, a usłyszawszy tam muzykę wszyscy się zbiegali, szydząc z grającego.

Środek ten okazał się nadspodziewanie silnym hamulcem i bardzo wielu poprawił zupełnie; w następstwie często się zdarzało, że skazany na tę

karę włóczył mi się u nóg błagając, żebym go na śmierć rózgami zaćwiczyć kazał, a od wstydu tego uwolnił.

A kiedy już wdaliśmy się w kary, opuścić nie mogę wspomnienia kary knuta, jako najwięcej barbarzyńskiej i najciekawszej w Moskwie, a ponieważ ta później przez Mikołaja zniesioną została, opisanie więc jej będzie śladem historycznym.

W górnej części miasta Tobolska, przy jednej cerkwi był dyak, który razem z popem odprawiał tam nabożeństwo, z żoną i ośmioletnią córką mieszkał obok cerkwi w domku osobnym i parkanem obwiedzionym. Był to sobie, jak zwykle, dyak głupi, zabobonny, w wolnych od nabożeństwa godzinach pijany i obdzierający parafian, o ile mu pop do obdarcia zostawił. Do dyaka jednego wieczora zajechała telega, parą dzielnych koni zaprzężona. Wkrótce do izby wszedł tęgi chłop brodaty, i, przeżegnawszy się przed obrazami, zaczął dyaka ściskać, jako z młodości znajomego. Przypomniawszy się sobie wzajemnie, zasiedli do herbaty, rozprawiając o różnych kolejach losu, jakie w ciągu niewidzenia się przechodzili. W końcu przyjezdny dodał, że mieszka w okolicach m. Jałutorska, że mu Pan Bóg poszczęścił i że przywiózł z sobą 20.000 r. asygnacyjnych, gdyż pragnie podjąć się dostawy mąki dla wojska, i że, mając tak znaczne pieniądze przy sobie, zajechał do dyaka, jako do swego przyjaciela, na dni kilka. Dyak i żona byli mu niezmiernie radzi, a że całe mieszkanie ich składało się z jednej izby, w niej więc usłali mu łoże i sutą

uczęstowali wieczerzą, przy której niepoślednią role grała wódka Jerafieicz (zwykle używana, bardzo tęga, ma nazwisko od swego wynalazcy). Chcąc dobrze pojąć cały ten dramat tamże odegrany, należy znać topografię mieszkań moskiewskich. Składa się ono zwykle z dużej izby, okolonej ławą, w jednym kącie stoi piec ogromny, w który po napaleniu wstawiają garnki z jedzeniem, ażeby się ugotowało, i otwór zakrywają zastawą blaszaną. Potrawy tam zostają aż do ich spożycia. Równo z wysokością pieca aż do drugiej ściany jest duża polica z kilku desek, na której kładą pościel i tam wszyscy sypiają. W przeciwległym rogu izby zawieszone są obrazy świętych, i ten kąt jest najzaszczytniejszem miejscem w izbie, gdzie tylko tych sadzają, którym zaszczyt zrobić pragną; tamże i łoże dla przyjezdnego było usłane. Gdy już wszystkich sen uspił, dyak z żoną zleźli z przypiecka i przerżnęli gardło gościowi; po ograbieniu pieniędzy, konie do telegi gościa zaprzęgli, trupa na telegę włożyli i, wyjechawszy wiorst parę za Tobolsk, porzucili telegę i konie w tundrach (tak nazywają stepy bagniste, porosłe małą brzeziną i cedrami; takie tundry od Tobolska ciągną się aż do morza lodowatego). Dyak był pewny, że konie z trupem przepadną na zawsze, pożarte przez dzikie zwierzęta, lub zbłąkane w stepie. Powróciwszy nadedniem do domu, umył się i poszedł do cerkwi śpiewać jutrznię i podziękować Bogu, że mu się udało. Żona dyaka, uprzątnąwszy posłanie gościa, zaczęła palić w piecu, córka obudziwszy się,

zawołała: „mameńka daj kołacza“. A gdy matka kołacza odmówiła, córka rzekła: „mameńka daj kołacza, a to skażu“. „A szto skażesz?“ zapytała matka. Tu córka powiedziała, że widziała, jak matka z ojcem zarżnęli podróżnego, że słyszała, jak on chrapał, gdy go rżnęli i t. d. Matka na to rzekła: „zleź z przypiecka, a dam ci kołacza“. Dziecko zlazło i przyszło do matki, stojącej przed piecem, ta dziecko schwyciła i wrzuciła głową naprzód do pieca, a potem otwór blachą zakryła. Bóg nie chciał bezkarnie zostawić tak okropnej zbrodni. Lud, idący do cerkwi, dostrzegł niezmiernie czarny dym, idący z komina w domu dyaka, zaczął się przed domem gromadzić, a następnie pukać do domu, że się pali. Żona dyaka nie otwierając drzwi, zaprzeczała, ale tłum wzrastał, nakoniec tłumnie wpadli do domu i poczuli swąd niezwykły; żona dyaka tłómaczyła się rozlaniem tłuszczu na blachę, ale z dopuszczenia boskiego wiatr z komina do drzwi otwartych wywrócił blachę, piec zamykającą, i wśród tlejącego się zarzewia ujrzano dwie nóżki dziecięce i całe ciało już zgorzałe. Lud zdrętwiał z przerażenia na widok tak okropnej zbrodni; babę i dyaka przy wyjściu z cerkwi aresztowano. Przy śledztwie nie zapierali się i wszystko wyznali. Dyaka skazano na 9 uderzeń knuta, a żonę jego na 5 uderzeń, a potem na piętnowanie i do ciężkich robót na całe życie.

Szczegóły te wyjęte są z aktów kryminalnych głównego sądu w Tobolsku, znajdujących się i dziś zapewne w miejscowem archiwum.

Byłem świadkiem ich knutowania, o czem poniżej, a teraz wróćmy się do knuta.

Knut jest to rodzaj bicza, czyli harapnika. Składa on się z dwóch części: najprzód z samego knuta tak zwanego, który corocznie stosownie do przepisanej prawem formy, jako wzór *(obraziec)* do każdej gubernii przysyłany bywa z Petersburga. Jest to kawałek rzemienia w kształcie pryzmatu, długości ćwierć łokcia, a grubości na $^3/_4$ cala, z grzbietowej skóry wołowej, na jucht wyprawionej; koniec jeden zaopatrzony jest uszkiem, i cały w oleju wygotowany, później zaszuszony tak, że twardością wyrównywa kości prawie i nawet nożem naderżnąć się nie daje. Druga część składa się ze zwykłego harapnika długości około $2^1/_2$ łokcia, z rzemienia plecionego, osadzonego na trzonku łokciowem. Do chlastu tego harapnika, t. j. do jego cieńszego końca, przytwierdza się za uszko ten kawał rzemienia, wygotowanego w oleju, i ten harapnik z tym rzemieniem razem nosi nazwisko knuta.

Katów takich jak w Europie nie ma w Moskwie, tam każdy zbrodniarz skazany do ciężkich robót, byle był zdrów i silny, i byle życzenie swoje do tego objawił, może być katem i złożyć dowody uzdolnienia swego, a te są: kładą deszczułkę z łubu zwykłego, na ćwierć cala grubą, pochyło przytwierdzoną na zwykłej desce; kandydat odstępuje od niej na jakie 15 kroków, a zatrzymawszy się chwilę, szybkim napowrót do niej zbliża się krokiem, w czasie zbliżania się robi odmach, trzyma-

jąc knut w prawem ręku za trzonek, i stanąwszy u deski, uderza w łubową deszczułkę tak, żeby tylko pryzmowy rzemień przyległ do łubu, a za każdem uderzeniem, żeby wyciął z tego łubu na wylot okienko równe wielkości knuta. Uderzenia te padać muszą regularnie w podłużnym kierunku, w równej od siebie odległości i w równej ilości, najprzód po lewej a potem po prawej stronie na deszczułce. Ślady te muszą pozostawić kształt ukośnej kraty. Po wykonaniu zdatności swojej, kandydat zostaje rzeczywistym katem, zostaje uwolniony od ciężkich robót, lecz resztę życia musi przemieszkać w zabudowaniach więziennych, zkąd mu nie wolno wychodzić bez straży, dostaje 120 r. asygnacyjnych (koło 35 r. sr.) płacy rocznie i małe wynagrodzenie od każdej egzekucyi knuta.

Przechodząc raz przez plac bazaru, usłyszałem odgłos bębna, i ujrzałem liczne zbiegowisko ludu. Dowiedziałem się, że to na widowisko knutowania zapraszają, a lubo mam wstręt do podobnych przedstawień, wszelako ciekawość przemogła, bo nie widzieć knutowania w Moskwie, byłoby to samo, co będąc w Rzymie, nie widzieć papieża. W okręgu mającym średnicy może 50 łokci i podwójnie okolonym szpalerem wojska, znajdował się wkopany pochyło pal, może 2 cale grubości mający, a 3 łokcie wysokości, wierzchni jego koniec był wyżłobiony, a tuż pod tem dwa wycięcia półkolne. Wewnątrz okręgu z boku stał policmajster na koniu z jakimś urzędnikiem w mundurze, przeczytali wyrok stojącemu obok nich zbrodniarzowi,

otoczonemu strażą, potem rozkuto skazanego, obnażono go po pas i poprowadzono ku wkopanemu palowi, tam bose nogi jego włożono w rodzaj kaloszów, będących przy dolnym końcu pala i rzemieniami mocno przytwierdzono; mając nogi tak skrępowane, skazany leżał piersiami na palu, szyja jego trafiła na wierzchnie wyżłobienie, a pachy w boczne ujęcia, ręce pod palem związano. Kat wtedy szerokiemi jak dłoń rzemieniami przywiązał mu kilkakroć kark do pętli, zrobionych przy palu. Te przywiązania rzemieniem robią dlatego, żeby najprzód unieruchomić winowajcę, a powtóre, żeby kark osłoniwszy, zabezpieczyć go od śmierci, bo gdyby kat przez niezręczność uderzył go knutem w to miejsce, zabiłby niechybnie, a pod najsurowszą osobistą odpowiedzialnością kata nie wolno mu zabić skazanego. Po dopełnieniu tych wszystkich formalności, policmajster, staje z jednej, a doktór z drugiej strony skazanego. Po każdem uderzeniu, doktór bada puls skazanego, czy resztę kary wytrzymać może. Gdy doktór widzi, że skazany więcej razów wytrzymać nie może, daje znak, natychmiast skazanego odwiązują, wiozą do lazaretu, leczą, a po wyleczeniu tyle razy knutowanie powtarzają i leczą naprzemian, dopóki skazany nie odbierze naznaczonej wyrokiem ilości knutów. Kat, silny chłop, w czerwoną ubrany koszulę, odstąpił kroków może 13 od pala, chrapowato krzyknął: „dierżyś“, i szybkim napowrót do pala zbliżył się krokiem, świsnął knut w powietrzu, skazany jęknął, na plecach krwawa wystąpiła

brózda, wyrwane knutem ciało krwistą wstążką uleciało, i doktór za puls wziął pacyenta. Troskliwość rządu o zdrowie pacyenta wśród takiego barbarzyństwa, jest charakterystyczną i ma w sobie coś tak podłego, jak zabawy kota z myszą. Odwróciłem się i więcej patrzeć nie mogłem, dochodził tylko do uszu moich jęk karanego i świst knuta 8 razy powtórzony. Po odwiązaniu, ze zbroczonymi plecami, przywleczony został przed kata, ten miał już w ręku 3 pieczątki nabite sztyftami (jak u nas do znaczenia owiec używają), te po kolei przykładał na czoło i na policzki, wbijając je pięścią drugiej ręki w ciało, i przygotowanym proszkiem z miałkiego prochu zatarł te miejsca. Zwyczajem jest, że po egzekucyi lud zebrany rzuca jałmużnę skazanemu. Z niemałym zadziwieniem ujrzałem, jak skazany cały krwią zbroczony, rzucane mu pieniądze zbierał, skacząc w „prysiudy" i w dodatku popisywał się więziennymi konceptami. To był właśnie ten djak, którego zbrodnię wyżej opisałem. Żonę jego poprzednio karano, czego nie widziałem, lecz powiadano, że nie tak obojętnie zniosła karę swoją, chociaż mniejszą.

Dawnymi czasy za ojcobójstwo i świętokradztwo karano 303 uderzeniami knuta, zamiast zaś piętnowania, wyrywano nozdrza i obcinano końce uszu. Za panowania Aleksandra I zmniejszono tę liczbę do 33 uderzeń i zniesiono wyrywanie nozdrzy i obcinanie uszu, a na to miejsce wprowadzono piętnowanie. Mało wprawdzie, ale zdarzyło mi się widzieć kilka egzemplarzy z wyrwanymi nozdrza-

mi; odrażający to widok. Piętnowanie nie musi być tak bolesnem i nie uzwierzęca tyle twarzy, gdyż winowajcy zaraz po piętnowaniu przykładają na te miejsca szmaty, maczane w serwatce, i to przez kilka tygodni, zamieniając je od czasu do czasu wezykatoryami, przez co znikają ślady prochu i pozostaje tylko na zawsze miejsce czerwone, które długimi włosami i faworytami zakrywają.

Mówiono mi, że wyroki, skazujące na pędzenie przez rózgi, dwojako bywają dawane. Jedne bez żadnej wzmianki, i takowe są wykonywane w przytomności doktora puls badającego, gdzie po wycierpianej karze, winny koniecznie żyć jeszcze musi, a to pod osobistą odpowiedzialnością doktora, choćby za każdym uderzeniem przyszło odwozić skazanego do szpitala dla leczenia; drugie ze wzmianką: *bit' bez poszczady* (bić bez miłosierdzia), i w takim razie w przeddzień egzekucyi winny spowiada się, i choćby umarł w czasie egzekucyi, żadna za to odpowiedzialność na nikim nie ciąży.

Skazanych wyrokiem tego ostatniego rodzaju przywiązują w lecie na półwozu, a w zimie na sankach, i przeciągają pomiędzy dwoma szeregami sołdatów, dopóki liczba oznaczona wybitą nie zostanie. Jeżeli wytrzyma, co bardzo rzadko się zdarza, odwożą skazanego do szpitala, a przewodniczący egzekucyi surowe dostaje napomnienie; a jeżeli umarł, po wybiciu reszty uderzeń na trupie, zakopują go w dół, i wola carska spełniona.

Naoczni i wiarogodni świadkowie opowiadali mi, że był jakiś rozbójnik, który 5 razy uciekał z Sy-

beryi, i za każdym razem a zawsze za nowe morderstwa był knutowany i odsyłany do Syberyi. Za szóstym razem skazany został na najwyższą karę, t. j. na 33 knutów, z dodatkiem *bić bez poszczady*. Sprowadzono trzech katów, żeby każdy po kolei odliczył część trzecią tej kary. Winny 30 już knutów wytrzymał, naigrawając się z katów, że bić nie umieją, i zdawało się, że i ostatnie 3 knuty wytrzyma. Policmajster zbliżył się do knutującego kata i rzekł mu: „Szelmo, jak go nie zabijesz, to ciebie każę knutować“. Kat z zimną krwią na to odpowiedział: „Jaśnie wielmożny panie, pozwól, żebym go lepiej przywiązał, bo się obluzował“. Policmajster skinął głową, kat podskoczył do pala i szyję winnego silnie rzemieniami ścisnął. Winny ochrypłym i przyduszonym głosem zaczął wrzeszczeć: „Prawosławny narodzie, nie karzą lecz duszą mię“, ale już knut w powietrzu świsnął, a po drugiem uderzeniu skazany skłonił głowę, a po trzeciem odwiązano już trupa.

Jest jeszcze rodzaj kary *pletju*, tj. batem, kat ją wykonywa w więzieniu, bez pomocy, sam jeden. Jest do tego deska blisko 3 łokcie długości mająca, z wyżłobieniami w obu końcach. Deskę tę skazanemu przykładają w poprzek od piersi a ręce przytwierdzają w wyżłobieniach na końcu deski będących. Na nogi zakładają petlę, kat podrywa koniec powrozu do petli i powróz przystępuje nogą, winowajca po poderwaniu nóg pada na twarz, a kat batem ukośną kratę wycina na plecach obnażonych.

Chociaż bolesna ale i zabawna jest kara żołnierzy kijem. Oficer wywołuje żołnierza przed front, o 10 kroków przed frontem żołnierz staje, spuszcza broń do nogi i opiera się na niej. Przybliża się dwóch podoficerów, dobywają kije (które powinni mieć zawsze gotowe w lufach), a w braku kijów biorą stemple, podnoszą poły i biją; podówczas karany musi w takt przeskakiwać z nogi na nogę. Po skończonej karze spuszczają poły, ukarany bierze broń na ramię i wraca do frontu.

Ale dosyć o tych karach, które nie wiem jakie na cierpiących robią wrażenia, ale przytomnych przejmują grozą i oburzeniem, a czytających wstrętem.

(Konstanty Wolicki—„Wspomnienia z pobytu na Syberyi i w cytadeli Warszawskiej“ — Lwów 1876.)

W kopalniach Nerczyńskich.

Po koniec kwietnia 1840 r. weszliśmy do pierwszego Górnego Zawodu na drodze leżącego, nazywającego się Gazimur. Tutaj czekali nas nieznajomi dotąd koledzy. Słyszeliśmy i wiedzieliśmy dokładnie, że w czasie pobytu naszego w Usolii, przeprowadzono przez Irkuck do Nerczyńska kilkunastu młodych bardzo ludzi z Warszawy. Na razie siedmiu pomieszczono w Gazimurzu, a wszystkich było dziesięciu: Brochocki Marceli, Eremberg Gustaw, Gruszecki Michał, Krajewski Aleksander, Morozewicz Stanisław, Rabcewicz Władysław, Sawiczewski Konstanty, Wężyk Aleksander, Wałecki Antoni i Żmijewski Eugeniusz. Śliczna młodzież: powierzchownie i wewnętrznie, ciałem i duchem. Uczyli się wiele i dobrze. Na każdego z nich, zaledwie skończył nauki, zaledwie pracować zaczął, padło nieszczęście i zapędziło go na

Syberyę. Niektórzy z nich, jak Sawiczewski, Krajewski, Żmijewski dwudziestu lat skończonych nie mieli. Odbywali drogę z Warszawy do Nerczyńska z taką wesołą rezygnacyą, jak gdyby dobrowolny a daleki spacer przedsięwzięli. Szli wygodniej, bo nie odarto ich tak niemiłosiernie jak nas w Kijowie. Mieli więc każdy bieliznę i ubranie i trochę grosza w kieszeni. Przebywając Bajkał przetrawestowali pieśń Bohdana Zaleskiego o Mazepie, którą cytuję jako smętno-wesołą werwę tej sympatycznej młodzieży.

Polsko! Nie trwórz ideału!
Wstecz nie płyną wody rzeki,
Twój kochanek z za Bajkału
Nie powróci na wiek wieki.
Gdzieś daleko wśród Buryatek
Znajdzie miłość i dostatek.

Wiedzieli o chwili naszego przybycia. Skoro usłyszeli bęben zbliżającej się partyi, wybiegli wszyscy na ulicę, istne wiosenne motyle, których ozdobne skrzydła obcy wiatr przymroził. Przystroili się świątecznie w czarne surduty, nawarzyli jedzenia, by nas głodnych uraczyć i z młodzieńczą żywością witali nas i ściskali, jak dawni najlepsi znajomi. Bo wspólność wygnańczej niedoli zbliża i kojarzy lepiej i szczerzej, jak długie i bliskie nawet stosunki zwyczajnego życia. Stał się ruch nieopowiedziany. Posypały się jak iskry wesołe żarty, dowcipne opowiadania, bezładne ale zajmujące szczegóły przebytej wędrówki i relacye niepewne, bo tylko słyszane, o tem co nas czeka w kopal-

niach, jakie mniej więcej będzie życie nasze. Obałamucony tym wirem oficer nie wiedział co począć, a ujęty gościnnością, stał się powolnym i nie przeszkadzał kilkogodzinnej naszej biesiadzie. Nadeszła wreszcie konieczna chwila, ogólne „do widzenia“ powtórzyło się kilkanaście razy. Jakoż po niedługim czasie widywaliśmy się wszyscy wzajemnie i często.

W parę dni później weszliśmy do głównego Zawodu, stolicy nerczyńskich kopalni. Tam mieszkał główny naczelnik, pułkownik górnych inżynierów, Tatarynów. Tam była cała administracya i jurysdykcya. Wprowadzono nas do głównego biura, podobnego do wszystkich w całej Rosyi. Kilkunastu obdartusów gryzło pióra, siedząc za stołami w obszernej izbie. W izbie drugiej trzech urzędników w mundurach odbywało sesyę. Najpierw tedy sprawdzono nasze nazwiska, potem zaraz rozkazano zgolić wąsy. Ponieważ car Mikołaj wąsów nie lubił, więc i Tatarynów czuł się w obowiązku nie lubić ich także. Zjawili się balwierze i w okamgnieniu spadły wąsy nasze. Na ogorzałych twarzach potworzyły się pod nosami białe pasy, co nas tak zeszpeciło, że bez śmiechu nie mogliśmy spojrzeć jeden na drugiego. Po dokonaniu tej arcyważnej operacyi, uspokojona władza pomieścić nas kazała czasowo w dość obszernym domie, należącym do Polaka, zesłanego po wojnie 1830 r. Był on rodem z Warszawy, z profesyi krawiec, miał więc zarobek i nieźle mu się działo. Nazwiska nie pamiętam.

Wkrótce zaczęła się segregacya. Zaczęto rozwozić nas po kilku do rozmaitych zawodów i rudników. Nie znając przyszłości, nie wiedząc, co nas czeka, żegnaliśmy się wzajemnie z bolesnym żalem jakby na długo, jakby na zawsze. Trzech nas, Adolfa Roszkowskiego, Fortunata Grabowskiego i mnie naznaczono do rudnika, o dwanaście wiorst od Wielkiego Zawodu, który zwał się Górna. Była to wieś dość piękna na pochyłości wzgórza położona. Na wierzchu wzgórza był rudnik, to jest kopalnia rudy, zawierającej w sobie srebro, jedna z najbogatszych w owych okolicach. Dzień był ponury i słotny: padał deszcz ze śniegiem. Kres ostateczny wygnania, Górnę, ujrzeliśmy 1 maja 1840.

Jakżeż upłynęło półtora roku życia? 21 września 1838 r. byłem aresztowany, pół roku siedziałem w kijowskiej fortecy. Zrazu samotny, potem dano mi towarzysza, studenta kijowskiego uniwersytetu, Antoniego Janiszewskiego. Już był skończył fakultet matematyczny jako celujący, miał być wysłany kosztem rządu za granicę dla wykończenia nauki, a potem miał zająć katedrę profesorską. Los zapędził go do więzienia, a potem w wieczne sołdaty na Kaukaz. Przebył tam lat wiele, dosłużył się rangi i jako odstawny podpułkownik wrócił do kraju, zdaje się w roku 1858. Osiadł był w Odessie, gdzie przed dwoma laty umarł.

Dnia 25 lutego 1839 r. wywieziony byłem z Kijowa do Tobolska w asystencyi dwóch żandarmów i z 20-funtowemi kajdanami na nogach. Dnia 1 kwietnia 1839 r. w towarzystwie siedmiu kolegów

ruszyłem z Tobolska w głąb Syberyi, wędrowałem ciągle i nieustannie, przeszedłem 4.500 wiorst i nakoniec, 1 maja 1840 r., ocknąłem się w Górnej. Ileż to przebyło się trudów, nędzy i głodu! Noc każda w więzieniu, w dzień brzęk kajdan i cyniczny śmiech zbrodniarzy. Partya, przy której szliśmy, składała się ze stu kilkudziesięciu aresztantów. Na czele maszerowali skazani do ciężkich robót, okuci w kajdany! Każdy z nich miał na sumieniu mord, zabójstwo, podpalania lub fałszowanie asygnat. Nie widać było na ich twarzach ani smutku, ani tęsknoty, ani tem mniej jakichkolwiek wewnętrznych udręczeń. Przeciwnie, byli weseli, bawili się jak najlepiej. Nieraz na własne uszy słyszałem, jak zebrawszy się w kółko na etapowym dziedzińcu, opowiadali po kolei straszne swoje dzieje. Opowiadania te przeplatane dowcipami i szatańskim śmiechem, kończyły się zwykle przerażającą zbrodnią, która zamiast oburzenia — wzbudzała w słuchaczach niepojęte zadowolenie. Rej oni wiedli w partyi, nikt się im sprzeciwiać nie śmiał. Za nimi postępowali zsyłani na osiedlenie w Syberyi i kobiety; jedne skazane za różne przestępstwa, inne dobrowolnie towarzyszące mężom. Te ostatnie siedziały zwykle na wozach, niejedna z dzieckiem przy piersiach. Partye zsyłanych łotrów mają swoją tajemną konstytucyę, a zesłańcy posłuszni jej są bezwarunkowo. Nic stać się nie może bez głosowania i ogólnego zezwolenia. Każdy konsens obłożony jest podatkiem. Chcący np. uciec, prosi o pozwolenie. Ogół wydaje dekret,

naznacza opłatę, wskazuje czas i miejsce ucieczki. Albo też dwóch podobnych do siebie łotrów chcą się pomieniać za swe przeznaczenie; idący na osiedlenie zgadza się pójść do ciężkich robót za pewną umówioną pieniężną kwotę. Uczą się więc wzajemnie swoich przeszłości, mieniają nazwiska i przy weryfikacyi odpowiadają jeden za drugiego. Lecz, aby się tak stało, proszą obaj o pozwolenie.

Partya naznacza opłatę i wydaje konsens. Każda zsyłana kobieta musi być czyjąś kochanką, ale żadna wybierać nie może. Partya decyduje. Pretendent płaci podatek, a partya mianuje go kochankiem. Jeżeli kobieta opiera się, nie chce, wtedy ulega strasznemu prześladowaniu. Nieraz widzieliśmy okropne gwałty, dokonywane wśród dnia białego w czasie marszu. Przekupieni żołnierze patrzą na te zbrodnie z obojętnością zupełną.

Łączenie kobiet z mężczyznami w jednych partyach było niezaprzeczenie przyczyną główną włóczęgostwa i licznych zbrodni. Powiadają, że rząd się opatrzył, i że teraz kobiety idą zupełnie osobno. Zmiana taka była konieczną i zapewne skuteczną. Ale dość już o tych obrzydliwościach. Wracam do dalszych wspomnień.

Trzech nas znękanych i smutnych weszło do Górnej. Zawieziono nas wprost do kantory. Wysoki drągal, naczelnik bióra, Berezowski, zapisał nas w jakąś książkę, kazał stanąć pod miarę dla oznaczenia wzrostu, i po tej ceremonii oświadczył, że jeżeli mamy za co, możemy sobie nająć kwaterę. Tuż zaraz zjawił się miejscowy mieszkaniec

i zaprosił nas do siebie. Nazywał się Portniagin. Wprowadził nas do małej, ale odrębnej izdebki i naznaczył miesięcznie wcale niewielką cenę. Podziękowaliśmy Bogu i za takie schronienie, ile że wybierać nie było ani czasu, ani ochoty. W kwadrans potem wszedł schorzały i znędzniały, ale przyjemnej postaci rodak. Nazywał się Kroczewski, zesłany za polityczną sprawę w r. 1833. Był księdzem i plebanem w Lubelskiem. Ani śladu kapłańskiego stanu. Ubrany w nędzną bajówkę, zasiadł i zaczął nam opowiadać smutne życie swoje. Żadnych duchownych obowiązków nie pełnił, bo mu zakazano. Raz na rok widywał księdza i słuchał mszy. Wyuczył się był szewstwa i szydłem na życie zarabiał. Umarł w lat kilka potem na raka w żołądku.

Zaledwie wszczęliśmy rozmowę z biednym eksplebanem, gdy zajrzał w okno obdartus w czerwonej czapce i zawołał głośno:

— Jutro o czwartej z rana do komendy.

— Co to znaczy? — spytaliśmy zaniepokojeni.

— Ha! to pierwsze oznaki tutejszej gościnności— odrzekł Kroczewski. — Do dnia powinniście iść do kantory, staniecie w rzędzie z katorżnikami i pójdziecie robić co każą. Ale, idąc tu do was, widziałem, że przyjechał naczelnik rudników, kapitan-inżynier Fitingow. Dobry człowiek, może wam pomódz, radzę, idźcie zaraz.

Natychmiast więc poszliśmy do mieszkania miejscowego naczelnika. Był nim porucznik Anikin, niepoczesna figura i jak przekonaliśmy się później

nic warta. Zameldowanych wpuszczono nas do pokoju. Wyszedł ku nam słusznego wzrostu, średnich lat, przystojny brunet w oficerskim mundurze. W krótkich słowach powiedzieliśmy powód przybycia naszego. Zamyślił się trochę, a potem rzekł grzecznie:

— Proszę przyjść jutro, o godzinie ósmej zrana. Postaram się dać panom żądaną odpowiedź.

Zamiast tedy na komenderówkę, poszliśmy nazajutrz do Fitingofa. Wyraźnie nas oczekiwał. Kazał zaraz podać herbatę i fajki i rozpoczął pogadankę, jakbyśmy gośćmi jego byli. W końcu powiedział, że naznacza nas do próbierni, w której dwa razy na tydzień od 11 do 1 godziny odbywają się próby dobytej rudy, to jest dochodzi się chemicznym sposobem, ile jaka ruda zawiera w sobie srebra, że zajęcie to nie będzie uciążliwem, a nawet może być dla nas ciekawem i zajmującem. A że nie jesteśmy jeszcze oswojeni z miejscowością, jeden z nas może zostawać w domu, byle dwaj drudzy stale na próbach bywali. Tych Fitingofów było dwóch braci, Aleksander Chrystofowicz, o którym wspomniałem i drugi Mikołaj. Obaj najlepszych usposobień, zacni nawet. Tak o nich sądzić winienem, bo nietylko delikatni byli zawsze, ale pomagali nam, w czem tylko mogli. Oni ułatwiali korespondencyę z krajem, co było nam wzbronionem, bo jako cywilnie umarli nie mieliśmy prawa pisywania do rodzin. Fitingofy wysyłali listy, a odwrotnie posyłki do nas pod ich adresem przychodziły. Tym sposobem Kossakow-

ski, lubiący myśliwstwo, otrzymał od sióstr dubeltówkę. Wspominam też tych poczciwców z głęboką wdzięcznością.

Zanotować tu muszę zdarzenie dowodzące poczciwości Aleksandra Fitingofa, a zarazem szalonej nieostrożności mojej. Po pewnym przeciągu czasu, kiedy już wszyscy zaczęliśmy żyć swobodnie i odwiedzać się wzajemnie, zgromadziliśmy się tłumnie do Wielkiego Zawodu na dzień 29-go listopada. Gwarny obiad jedliśmy wszyscy w mieszkaniu Beaupre'go. Po obiedzie nad wieczorem wydelegowali mnie koledzy z rewizytą do Fitingofa, bo ilekroć z obowiązku swego zajeżdżał do Górnej, nigdy nas nie mijał. Przesiadywał po godzin kilka, raz nawet upił się u nas potężnie, gdyż wyznać trzeba, do kieliszka miał skłonność niemałą. Przyjął mnie najuprzejmniej i zaczął częstować nalewką. Wypiłem kieliszek, drugi i trzeci. Przy wstrzemięźliwem życiu i młodych latach trunek podziałał, ile że nigdy wiele pić nie mogłem. Chciałem się tedy wycofać. Fitingow zatrzymuje i jeszcze nalewa. Mając już w głowie, powiadam: „wypiję, ale wypijmy razem zdrowie, jakie zaproponuję, bo u nas dzisiaj święto, rocznica powstania 1830 r.“ Podnosi poczciwiec kieliszek i do mnie: „winszuję święta“. Uderzyliśmy w kieliszki, uścisnąwszy się wzajemnie. Wyszedłszy na ulicę, gdy rozważyłem popełnione głupstwo, jakże dziękowałem Bogu, że mnie od nieszczęścia ochronił, a mojego Fitingofa pokochałem prawie.

Niedługo potrwało poczciwe a nawet rozsądne

postanowienie Fitingofa. Zdarzył się jakiś wypadek w Wielkim Zawodzie, który wzburzył Tatarinowa. W pierwszym gniewie, a był popędliwy, wydał rozkaz, aby nigdzie nie folgowano Polakom, aby wszędzie wszystkich zaprzęgnięto do roboty. Najmniej się spodziewając, otrzymaliśmy nakaz od Anikina chodzenia codziennie do rudnika, od 8 do 11 godziny z rana. Wprawdzie niewymagano rzeczywistej roboty, była to tylko forma, niemniej jednak dokuczliwa. W środku placu, na którym składano wydobytą z głębi ziemi rudę, tłukliśmy młotami, jak tłuką kamień na szosie. I trwało to kilka miesięcy. Wkrótce Tatarinow został generałem i wyjechał na gubernatora do Tomska, a jego następca, pułkownik Rodstwienny, kazał uwolnić nas wszystkich od robót. I od owej pory nikt już nam nie dokuczał. Żyliśmy spokojnie i prawie swobodnie.

Nerczyńskie kopalnie rozciągają się na przestrzeni kilkuset wiorst dokoła. Było kilka zawodów, to jest kilka fabryk, w których wytapiano z rudy srebro. Odbywało się to w wielkich ku temu urządzonych piecach. Ruda prócz ziemi zawiera w sobie srebro, ołów i arszenik. Najpierw tedy oddzielano srebro z ołowiem, potem oddzielano ołów a czyste srebro stapiano w niewielkie sztaby, które ostemplowane i zważone odsyłano corocznie do Petersburga. W czasie palenia rudy ulatniał się arszenik, rozchodził się w powietrzu w kształcie pary, a w znacznej ilości osiadał na ścianach pieców. Robota około tych pieców była zabójczą,

arszenik niszczył zdrowie pracujących, następowała zwykle obrzmiałość pod piersiami, cera stawała żółtą i bardzo często śmierć nadchodziła. Zdarzały się silne organizmy, które znosiły tę truciznę bezkarnie, ale to były wyjątki. Dla zaradzenia zbytniej śmiertelności, po tygodniu pracy około pieców, wyprawiano katorżników na wolne i czyste powietrze do robót w rudnikach. Zawodów takich było kilka. Najpierw główny Zawód Nerczyński, gdzie koncentrowała się cała administracya i gdzie rezydował główny naczelnik. Zawód Kutumara, gdzie był zrazu Gasper Maszkowski. Zawód Duczara, w nim osadzono Walerego Kossakowskiego, Orzeszkę, Cyrynę i warszawiaka Wałeckiego. Zawód Gazimur, gdzie — jak wspomniałem wyżej — zebrana była młodzież warszawska. Niedługo rozchwytano tę młodzież na wsze strony; stali się nauczycielami dzieci urzędników. Był jeszcze jakiś zawód, ale zapomniałem. Rudników było bardzo wiele, każdy należał do jakiegoś zawodu i tam wydobytą rudę odsyłał. Rozwozili ją włościanie z mnogich wsi okolicznych, zwanych podzawodzkie dlatego, że musiały odbywać pewne obowiązkowe roboty, jakby pańszczyznę.

Wszystkie Zawody i Rudniki leżą wśród gór nieprzerwanych. Faluje się niemi cały ten kraj nerczyński. Mieszkańcy zwą te góry Sobki. Na niektórych widnieją ustawione krzyże. Jedne są nagie, drugie pokryte gajami brzozowemi. Ziemia tu bardzo żyzna, wegetacya bujna i piękna, roślinność zadziwiająca. Rosną tutaj dziko na polach

konwalie, piwonie czerwone i różowe, lilie białe, dzwonki piękniejsze od pielęgnowanych w naszych ogrodach i wiele innych kwiatów, silnie pachnących. Jeden szczególnie nas zachwycał kwiat, duży biały, ze ślicznym szlakiem amarantowym. Żałuję, że nie zebrałem i nie zachowałem nasienia. Ale któż to z nas wówczas mógł myśleć, że wróci do kraju. Na dolinach pomiędzy górami płyną małe rzeczki i ruczaje, zwilżające ziemię. W połowie maja trawa i kwiaty zaczynają wzrastać i wyrastają bardzo prędko. Wśród łąk tych pasą się trzody bydła i owiec. Bydło też tutaj prześliczne, zupełnie jak szwajcarskie, a w początkach czerwca już tłuste jak oblane. Krowy czarne, pstrokate, a bardzo wiele moręgowatych. Mleka dają obficie i mleko doskonałe.

Niedługo potem przybył do Górnej stary Maurycy Kisiel. Czterem stało się zbyt ciasno u Portniagina. W przekonaniu, że zostaniemy w Górnej całe lat dwadzieścia, zaczęliśmy myśleć o nabyciu chaty na własność. Jakoż zdarzyła się chata Tatarów, zesłanych z Kaukazu. Była w niej sień na przestrzał, po lewej stronie obszerna kuchnia, po prawej dwa pokoiki z piecem holenderskim. W sieniach spiżarnia, w kuchni loszek pod podłogą. Obok chaty dziedziniec niewielki, źle ogrodzony, z nędzną szopą i niezbyt obszerny ogród warzywny. Niedługo myśląc, kupiliśmy tę chatę na wspólną własność za 300 rubli. Mieliśmy więc własną sadybę, do której wkrótce przybył piąty kolega z Kutumary Gasper Maszkowski.

Zbliżając się do nerczyńskich kopalń, gdzie prawdopodobnie mieliśmy życie przeżyć, postanowiliśmy pewne prawa, rodzaj konstytucyi, solidarnie wszystkich obowiązującej, a której wszystkie punkty spełniać przyobiecaliśmy dobrowolnie. Konstytucya nakazywała: 1) bezwarunkowe posłuszeństwo miejscowym władzom; o nic nie prosić, a wszystko robić, co tylko nakazanem będzie; 2) znajomości z urzędnikami nie unikać, ale ograniczać się koniecznością, nie posuwając się do poufałej zażyłości, mogącej sprowadzić nieprzyjemność, a nawet krzywdę; 3) nie grać w karty z urzędnikami pod żadnym pretekstem; 4) łączyć się, ile tylko będzie można, jeżeli władze pozwolą, odwiedzać się wzajemnie i zgromadzać się jak najczęściej i dlatego każdy obowiązany był obchodzić imieniny, a wszyscy powinni byli na imieniny przybywać; 5) z pieniędzy, przychodzących z kraju, każdy winien był oznaczony procent wnosić do kasy ogólnej, tak zwanej kasy wygnańców, wybrany zaś kasyer miał obowiązek utrzymywać ścisły rachunek, a kasa służyć miała na wsparcie i zaopatrzenie potrzeb kolegów nie mających żadnych funduszów; 6) unikać ile możności bliskich stosunków z miejscową płcią piękną, co w kraju dzikim i zapełnionym zbrodniarzami było niebezbiecznem, a nawet groźnem. Ustawa ta zachowywana była ściśle przez cały czas pobytu mego w ciężkich robotach. Każde uchybienie roztrząsanem i ostro ganionem bywało na publicznych zebraniach, umyślnie w tym celu naznaczanych.

My, w Górnej, urządziliśmy się na zasadach zupełnej braterskiej równości. Wszystkie dochody, skądkolwiek i dla kogokolwiek z nas w ciągu roku wpływające, szły do kasy ogólnej i używane były na zaspokojenie wspólnych naszych potrzeb. Postanowiliśmy nie mieć żadnej usługi i wykonywać sami wszystkie domowe roboty. A więc Adolf Roszkowski został kasyerem i gospodarzem. Obowiązkiem jego było: 1) przychodzące z kraju fundusze odbierać, płacić z nich procenty do kasy wygnańczej, a resztę zapisywać na przychód do kasy naszej; 2) odbierać co miesiąc należność od rządu, mianowicie każdy z nas dostawał pół rubla srebrem i dwa pudy żytnej mąki miesięcznie, było więc 10 pudów mąki i półtrzecia rubla na pięciu; 3) zakupować i sprowadzać do chaty wszystkie artykuły żywności.

Fortunat Grabowski miał w wyłącznem swem zawiadywaniu dwie piękne krowy przez nas zakupione. On pilnował aby były nakarmione i dokładnie wydojone. On utrzymywał nabiał, zbierał śmietankę i śmietanę, robił masło i sery. On także nastawiał samowary, przyrządzał herbatę i kawę.

Gasper Maszkowski był stróżem; zamiatał chatę, nosił drwa do pieców, palił w piecu pokojowym i karmił dwie świnki.

Ja byłem kucharzem, więc robiłem obiady, przesiewałem mąkę i chleb piekłem, robiłem kwas dzieżny, myłem kuchenne naczynia i całą kuchenną izbę w czystości utrzymywałem.

Maurycy Kisiel, jako weteran, wolnym był od pracy; przychodził do gotowego.

Baba sąsiadka, Iwanówna doiła krowy i nosiła wodę, bo studni nie było.

Tak urządzona machina gospodarska funkcyonowała dobrze i coraz lepiej. Każdy z nas nabierał wprawy, urząd swój spełniał coraz żwawiej i dokładniej. Żadna klucznica nie mogłaby lepiej dojrzeć nabiału, staranniej zebrać i sprażyć śmietanki, jak to czynił Grabowski. Krowy były zawsze nakarmione, w zimie miały starannie usłane legowisko, wyglądały też jakby umyślnie tuczone, a mleka dawały co niemiara. Ja kucharzowałem zrazu niedołężnie, wkrótce jednak poszło mi raźniej. A więc robiłem rosoły, barszcze i inne zupy; kotlety i befszteki, kluski i pierogi i t. d. W pieczeniu chleba doszedłem był do pewnej doskonałości; nietylko chleb był zawsze wypieczony, ale umiałem mu nadawać kształty rozmaite, okrągłe i podłużne, większe i mniejsze. O dobroć chleba wszczęła się była emulacya między Górną i Wielkim Zawodem, gdzie Beaupré utrzymywał kuchnię i stołował kolegów.

Wszystko ujęte było w karby porządku i rygoru prawie wojskowego. Najmniejsze uchybienie zaraz było spostrzeżone. Koleżeństwo rozwinęło się potężnie. Nadawało pewne prawa i wkładało obowiązki, które spełniać trzeba było koniecznie. Z tego powodu zdarzały się czasem kwestye drażliwe, a nie raz bardzo zabawne. Maszkowski naprzykład nie mógł nigdy znieść spokojnie żadnego przy-

pomnienia, tem bardziej napomnienia w swojem stróżostwie.

— Gasprze — ktoś z nas powiada — patrz, ile zostawiłeś śmiecia.

Natychmiast zaczyna krzyczeć i dowodzić, że zamiótł jak najlepiej. Mało tego; dowodzenia te rozciąga na trzy dni i tak bywało dokuczy, że woleliśmy nieraz sami poprawić jego robotę. Zacny był to człowiek, ale oryginał jakich mało. Ileż to mieliśmy z nim scen najkomiczniejszych! Zawsze można go było rozgniewać, uprzedziwszy, że umyślnie w tym celu to i to mówić będziemy. W pięć minut Gasper już gotów, a my wszyscy umieramy ze śmiechu. Apetyt miewał szalony. Założył się był ze mną, że zje pół kopy jaj na twardo z farszem zgotowanych. Przyrządziłem mu jaja najstaranniej, co było zastrzeżonem przy zakładzie. Pamiętam zabawną chwilę, kiedy farsze owe zmiatał. Przegrał w końcu, jednakże zjadł jaj więcej jak dwadzieścia. Ranną kawę pijał w sporym garnku, nie odcedzając gąszczy. Zamieszawszy dobrze, wszystko razem połykał, — a była to kawa z palonego jęczmienia, bo prawdziwej, zbyt drogiej, nie mieliśmy nigdy. Żyje on dotąd, a pomimo lat 70 z górą zawsze ma niepomierne żołądkowe zdolności.

W niedługim czasie nabyliśmy w owej miejscowości widocznej umysłowej i moralnej przewagi. Stało się to mimowolnie z naturalnej konieczności. Było nas trzydziestu kilku, mniej więcej jednakowo wychowanych, nawykłych do lepszego życia, do lepszych form towarzyskich. Wielu pomiędzy nami

posiadało wyższe wykształcenie i talenty. Miejscowi urzędnicy znaleźli środki wychowywania dzieci i środki nie lada jakie. Potworzyły się tedy z władzami bliższe stosunki, a zawsze z wyższą z naszej strony przewagą. Dzieci robiły w naukach widoczne postępy, ztąd wdzięczność rodziców. Kupowane przez nas domki przybierały schludniejszą postać, tworzyły się koło nich zagrody i ogródki. Stąd podziwienie mieszkańców i chęć naśladowania. Często zgromadzaliśmy się tłumnie po dwudziestu kilku, bo każde imieniny, każda narodowa pamiątka wspólnie obchodzone być musiały. Z początku władze bywały zaniepokojone, a mieszkańcy ciekawi, co też to dziać się będzie w takiej licznej gromadzie. — Więc dowiadywano się skrycie, posyłano do szynków, ile też Polacy zakupili wódki, ile jest zamówionych kobiet, bo bez tych dwóch szpetnych warunków niepojmowano tam wesołej biesiady. Śledztwo przekonało zawsze, że wódki kupiono jeden sztof tylko, a kobiet nie było zupełnie. A jednak gwar nieustający, głośne rozmowy i śpiewy słyszał każdy przechodzący. Dziwny naród ci Polacy, gadało pospólstwo, porządni ludzie, mówili niektórzy górni inżynierowie, zamiast pilnować, naśladować ich wypada.

Tak tedy rozwinęło się życie swobodne i wspólne. Rozrzucani po Zawodach i Rudnikach odwiedzaliśmy się bardzo często. Wprawę w chodzeniu pieszo mieliśmy wielką. Zrobić spacer piętnasto lub trzydziestowiorstowy było rzeczą łatwą i niemęczącą. Apetyt tylko się wzmagał. Każde imieni-

ny wyczekiwane były niecierpliwie; każdy kto mógł pospieszał na nie. W Górnej chata nasza tak stała, że widne z niej były wszystkie dokoła wzgórza i wijące się po nich drożyny. Corocznie było pięć imienin, sześć nawet, bo święto staruszka Ludwika Janiszewskiego przypadało 25 sierpnia, na drugi dzień po imieninach moich, a więc obchodziło się także w Górnej. Na dwa dni przedtem przygotowywało się w chacie naszej przyjęcie dla licznych gości. Nie wykwintnie ale dostatnio należało nakarmić, bo młode żołądki niestrawności nie znały. Więc robiłem w dwóch saganach chłodnik zawiesisty, piekłem potężne pieczenie i prosięta, robiłem kołduny, małdrżyki lub kluski. Fortunat Grabowski uwijał się koło nabiału, zgromadzał samowary, a Maszkowski wymiatał chatę i dziedziniec. Wielkie na przestrzał sienie służyły jako jadalna sala, w której ustawiały się proste stoły i zydle. Na stołach chleba kilka bochenków, polewane miski i łyżki drewniane, nożów tylko kilka, bo więcej nie było. Gość każdy dobywał nóż własny, co przypominało starodawne zwyczaje. Zwykle zjazd następował w przeddzień wieczorem. Na wzgórzach pojawiały się telegi, piechota i konnica. Stojąc na ganku poznawaliśmy zdaleka idących i jadących. Przyjeżdżali wreszcie. Zaczynał się gwar, ruch nieopowiedziany. Jedni się witają, drudzy wprowadzają konie w dziedziniec. Gasper Maszkowski jako stróż pokazuje studnię i wraz z przybyłymi prowadzi rumaki do wody. Grabowski krząta się koło samowarów, a sąsiedni miesz-

kańcy gapią się zaciekawieni. Po takim wstępnym zamęcie następuje herbata. Pije szlachta „w zagryzkę“ i chleb spożywa. A przytem wszczyna się gawędka, najrozmaitsza i niewyczerpana. Myślałby kto, że znużeni pospieszą odpocząć. Gdzież tam; ledwie po północy zaczyna przerzedzać się towarzystwo. Wnoszą słomę do sieni i rozkładają się na niej. Wszystkim miękko, wygodnie; śpią jak zabici. Z rana sami wynoszą posłanie, sień w okamgnieniu wymieciona, wszystko dobrze i porządnie.

W dzień imienin obiad prosty, pożywny, a nadewszystko młodą werwą i niezmyślonym apetytem zaprawny. A potem pogadanka, dzielenie się odebranemi wieściami z kraju, a stąd rzewne i nieskończone wspomnienia, nadzieje na przyszłość, nadzieja przyjazdu żon do mężów, plany urządzenia domów familijnych. A w pewnych chwilach zalegało milczenie, dobywały się westchnienia i załzawiało się niejedno oko. W taki to sposób odbywały się wszystkie zgromadzenia. Na drugi dzień zrana ugoszczeni i rozmarzeni, rozjeżdżali się tułacze, wyznaczywszy następne imieniny, zawsze z upragnieniem oczekiwane. Zgromadzenia te nasze były rzeczywiście serdeczne i zbawienne bardzo. Tworzyły spójnię szczerą i prawdziwą, krzepiły ducha, a razem kontrolowały życie każdego i wszystkich. Była w nich jakaś wzniosła poezya, którą dotąd po tylu latach barwią się wspomnienia moje. Pobyt w nerczyńskich kopalniach w gronie kolegów niedoli, tkwi w mej pa-

męci obok niewygasłych uczuć szacunku i przyjaźni dla wszystkich. Niewielu już nas zostało.

Większa liczba zeszła do grobu. My, żyjący jeszcze, rozproszeni po świecie, zajęci kłopotami powszedniego życia, rzadko kiedy schodzić się razem możemy. Pomimo to jednak, w mojej duszy przynajmniej, przechowuje się braterska miłość dla wszystkich towarzyszy wygnania i tak będzie do końca dni moich.

Zastaliśmy w nerczyńskich kopalniach wielu rodaków zesłanych za wojnę 1830 roku. Jedni byli sołdatami w batalionie i w inwalidach, drudzy w ciężkich robotach. Nieszczęsny ich ogół, niezjednoczony przeszłością, różniący się wychowaniem i rodzinnemi tradycyami, nie mając żadnych stosunków z krajem, poniewierał się i przepadał. Niektórzy pożenili się z miejscowemi dziewczętami i stali się na zawsze Sybirakami; inni, zmuszeni nędzą, służyli jako parobcy u włościan; małej liczbie rzemieślników z profesyi działo się lepiej. Ledwie kilku wytrwało w nieszczęściu i zachowało pierwotny, nieskażony charakter. Takim był głośny w historyi pułkownik Piotr Wysocki. Wie każdy, że przy wzięciu Warszawy w roku 1831, ciężko raniony, dostał się do niewoli a następnie zesłany został do ciężkich robót. Zrazu był w Usolii. Chcieli go stamtąd wyzwolić koledzy, ale nie udała się ucieczka. Ukarani cieleśnie, Piotr i jego wspólnicy, posłani zostali do Nerczyńska, a Piotr osadzony został w Akatui. Tak się nazywa Rudnik, w którym jest więzienie, przeznaczone dla

największych zbrodniarzy. Nie poznałem go osobiście, bo nie było możności i czasu. Poznali i odwiedzali go później w Akatui koledzy moi. Był tam razem z Piotrem Wincenty Chłopicki synowiec generała. Przywiązanie Wincentego do Piotra było niezwyczajnem. Nie odstępował go nigdy, pomagał mu z poświęceniem się wzorowem. We dwóch urządzili mydlarnię, warzyli dobre mydło, które nabrało wziętości i z łatwością się zbywało. We dwóch własnoręcznie zbudowali chatę i razem w niej mieszkali. Wiadomo także, że po amnestyi powrócił do kraju także zacny Piotr Wysocki. Z nim razem wrócił Wincenty Chłopicki, ale już w kraju rozstać się musieli. Piotr osiadł w Królestwie, w Warce, Wincenty został na Wołyniu, w Pulinach pod Żytomierzem. Tam umarł, zostawiwszy żonę i jedyną córkę Maryę, prawie w niedostatku. Obie mieszkają obecnie w Żytomierzu; widuję je często.

Trzecim takim wygnańcem, był Malczewski, major od saperów. Odznaczył się ze swymi saperami w nocy 29 listopada 1830 r., a wzięty w niewolę dostał się także do nerczyńskich kopalni. Zastaliśmy go w Wielkim Zawodzie. Acz w wielkiej biedzie, nie upadł moralnie. Łatwo się wcielił w nasze koleżeńskie grono i dobrze mu z tem było.

W Błahodackim Rudniku, o dwie wiorsty od Górnej, mieszkało dwóch biedaków. Sawicki, który będąc uczniem w Międzyrzeczu na Wołyniu, przyłączył się do powstania pułkownika Różyckiego

i Solecki, także młody bardzo, który później ożenił się z włościanką, a później ją znienawidził. Biedna kobieta bywała u nas często w Górnej, prała naszą bieliznę i opłakiwała smutną swoją dolę. W Górnej prócz księdza Kroczewskiego był murarz Franciszek Kotowski. Prosty ten człowiek miał niezachwianą wiarę, że wróci do kraju, że będzie jeszcze szczęśliwy ze wszystkimi rodakami. Zawsze oczekiwał prędkiego i cudownego wyzwolenia. Naznaczał terminy, a gdy te minęły, spokojnie naznaczał dalsze i dalsze, zawsze z niezmienną pewnością. Miewał też najzabawniejsze wiadomości, które nam poufnie komunikował. Nieraz wchodzi p. Franciszek z rozradowaną fantazyą.

— Jak się masz p. Franciszku? Co tam nowego?

— Idzie — powiada po cichu — i przyjdzie może za tydzień.

— Kto taki? — pytamy.

— Niezwiesno, jedni mówią biały Arab, drudzy mówią Konstanty.

A trzeba dodać, że jeszcze wówczas w całej Syberyi powszechne było między ludem przekonanie, że w. ks. Konstanty żyje i że się zjawi lada chwila. Otóż Franciszek wierzył w tę bajkę. Śmiech nasz mimowolny męszał biedaka. Zżymał się, że nie wierzymy w takie pewniki. I umarł poczciwiec nie doczekawszy się wyzwolenia.

Byli jeszcze w Wielkim Zawodzie Holsztejn i ks. Boguński, kolega ks. Kroczewskiego. Pierwszy dawał lekcye i grywał na skrzypcach. Przebywał wielkie biedy, słabe miał zdrowie, jednakże do-

czekał powrotu do kraju. Drugi utonął w rzece Szytce, łowiąc ryby.

Wówczas w całej Syberyi dwa tylko były katolickie kościółki, w Tomsku i w Irkucku. Przy każdym dwóch kapłanów, proboszcz i wikary. Byli oni zarazem wojskowymi kapelanami. Corocznie objeżdżali obszerne swe parafie, zajeżdżali do wszystkich miejsc i miasteczek, gdzie były wojskowe komendy, bo w każdej znajdowali się żołnierze katolicy. Ksiądz bywał wyglądanym z wielkiem upragnieniem, a zjawienie się księdza stanowiło uroczystość dla wygnańców. Spieszyli wszyscy spowiadać się, słuchać mszy św. Rozrzewniające były te nabożeństwa.

(Konarszczyk 1838—1878 — „Pamiętniki zesłania na Sybir Justyniana Rucińskiego". — Lwów, 1895.)

PRZEJAŻDŻKA RENAMI.

Mróz mamy na stopni 30 Reomiura. Jeden z mieszczan tutejszych przyjechał z *nartą*, zapraszając abyśmy użyły przejażdżki renami.

Przyjęłyśmy wezwanie z ochotą.

Opatrzywszy się jak można najlepiej na mróz tak silny, wyjechałyśmy z naszym dziarskim i zręcznym przewodnikiem.

Ren jest zwierz nie większy od rosłego cielęcia dwuletniego; mordę i racice ma podobne do bydlęcia, włosy pod brodą wiszą jak u kozła, ogon ma krótki, skład (szczególnie patrząc z tyłu) trochę podobny do sarny, wszakże sarna jest zgrabniejsza, bo ma cieńsze i wynioślejsze nogi. Ogromne gałęziste rogi, najwięcej mu dodają okazałości.

Szerść mają białą, albo kasztanowatą, lub też mięszaną w strokaciznę złożoną z tych dwóch kolorów.

Reny zrzucają rogi corocznie, które im nanowo odrastają z przydatkiem co roku nowej gałęzi. Podczas zrzucania rogów, ren jest najsłabszy i nie powinien się wtenczas używać do zaprzęgu.

Reny zaprzęgają się do sań zupełnie odmiennych kształtem a nawet lekkością od sań pospolitych, używanych do zaprzęgu koni; takowe sanie nazywają *nartą*. Narta jest nierównie dłuższa niż sanie pospolite, używane u nas do przewozu ciężarów; położy są cienkie, i całe wiązanie takież, zapewno dla lekkości, stosując ją do siły rena mającego jej niewiele.

Położy są szeroko osadzone jeden od drugiego, zapewne, aby ochronić przeciw częstym wywrotom; po wierzchu zaś wiązania, przytwierdzone są deski, ułożone równo jak na stole, tak, że nie ma w narcie przyrządzonej tym sposobem, żadnej wklęsłości dla schowania nóg lub jakich rzeczy; jest to tapczan osadzony na położach i nic więcej. Jadąc, trzeba siedzieć na owem tapczanie, spuściwszy nogi na bok; nie ma żadnego podnóżka dla postawienia onych, ani też poręcza dla ujęcia ręką w niebezpieczeństwie wywrotu: podróżny musi jedynie rachować na zręczność własną i sprężystość swych członków.

Ładunek, jeżeli jest jaki do przewiezienia, układa się na owym tapczanie, okrywa skórami z renów i przywiązuje powrozami. Tak przytwierdzony, zabezpieczony jest od wypadnienia, choćby się narta przewróciła.

Narta owa, czyli sanie, nie mają dyszla. Zaprzęga się do nich pospolicie trzy reny, z których jeden

tylko, średni, ma lejc zarzucony na rogi, i ten kierowany, pociąga za sobą inne.

Mała szlejka z jednym pasem rzemiennym, przechodzącym pod brzuch rena, i przywiązanym do narty, jest całą uprzężą.

Gdy reny już są zaprzężone do narty, podróżny czy też woźnica siada na niej bokiem opatrzony drążkiem cieńkim lecz mocnym, długości kilkoarszynowej; drążek ten w jednym końcu, okuty jest w żelazo. Służy on do zatrzymania w biegu renów, co się uskutecznia zanurzając w śniegu drążek i okręcając nań lejce.

Reny są tak lekkie, że się utrzymują na powierzchni śniegu; dla tego są bardzo przydatne do podróży w kraju, gdzie drogi rzadko bywają utarte, i gdzie podróżny musi pierwszy ślad torować.

Reny lecą jak wiatr prędko. Góry, ubocza, nie zatrzymują ani też zniewalają do zwolnienia biegu; owszem, im z większej góry, tem reny przymuszone są biedz prędzej, bo gdyby nie uciekły przed pędem sani, które będąc bez dyszla lecą na dół popychane własnym ciężarem, połamałyby niewątpliwie nogi, mając je cienkie.

Woźnica nie może, czy też nie umie władać renami, jak się włada końmi. Czy to zawrót, czy miejsce niebezpieczne, reny nigdy nie zwalniają kroku. Można je zupełnie osadzić, ale nie przymusić do zwolnienia biegu.

Gdy usiadłam na nartę i puszczono w bieg reny, doświadczyłam przykrego uczucia, ledwie nie zawrotu głowy, jakiego się doświadcza na hojdałce.

Leciałam z wiatrem na wyścigi, które to uczucie nie byłoby przykre, gdyby się nie łączyła bojaźń wynikła z przekonania, że się jest zupełnie zależną od zwierząt, i że żadna siła rozumna nie ma nad niemi zwierzchniego kierunku.

Po pewnym czasie podróży, widząc, że narta się nie przewraca mimo rzucanie na wszystkie strony, oswoiłam się, i bać się przestałam. Spotkałyśmy jednak po drodze nartę przewróconą, którą podobno przejeżdżała się sprawnikowa; wszakże nasz dzielny woźnica zaręczał że z nami tak źle nie będzie, jakoż słowa dotrzymał.

Jeżeli wywróty nie bywają zbyt częste, pochodzi to z przyczyny niepospolitej długości narty, i że szerokość sań u spodu, równa jest szerokości ich u wierzchu; wszakże nieraz się trafia, że narta się przewraca, ale w takim razie, znów się sama podnosi; podróżny w takim przypadku, jeżeli spadł z narty, powinien użyć całej zręczności aby wskoczyć na powrót nim reny się oddalą, w przeciwnym bowiem wypadku, musiałby iść piechotą aż do miejsca, gdzie reny zwykły się zatrzymywać dla pokarmu lub przeprzęgu.

Reny karmiąc się mchem podobnym do Islandzkiego, nie potrzebują aby człowiek przygotowywał im paszę na zimę. Trzody tych zwierząt utrzymują się przez zimę po lasach, gdzie jest obfitość mchu podobnego; właściciele onych utrzymują osobnych pastuchów do ich dozoru. Te pastuchy, mają swój *czum* czyli namiocik, postawiony w miejscu wybranem na pastwisko, i posuwają go,

w miarę przesuwania się trzody w inne miejsce dla wypasu.

Reny mają instynkt do odszukiwania miejsc w mech obfitych, a jakakolwiek byłaby głębokość śniegu, przegrzebują go kopytami, i sobie karm odkrywają.

Gdy raz trzoda przegrzebie jamę, i dostanie żywności, trzyma się jednego miejsca, posuwając się coraz dalej. W przypadku tylko gdy paszy zupełnie zabraknie, przenoszą się w inne miejsce, co wszakże rzadko się trafia, gdyż mech, przydatny na paszę tym zwierzętom, znajduje się prawie na każdem miejscu.

Posiadacz trzody, jeżeli potrzebuje wyjechać w drogę, sprowadza z lasu tyle renów, ile ich potrzebuje, a po odbytej podróży, zapędza na powrót do lasu. Na stajni utrzymywać te zwierzęta niepodobna.

Ren nie wygląda nigdy pokarmu z ręki człowieka. Nawet podczas podróży nie trzeba go karmić przygotowaną paszą, lecz skoro podróżny uważa że reny jego są już głodne, wyprzęga i puszcza na paszę; a dla zapobieżenia, aby się nie rozbiegły po lesie po jednemu, uwiązuje do jednego drążka, i musi czekać na miejscu, póki reny się nie nakarmią.

Wszakże podobny sposób podróżowania, jest niewygodny, bowiem popas renów zajmuje godzin kilkanaście. Dla uniknienia tej nieprzyzwoitości, właściciel trzody renów, chcący odbyć podróż w prędszym czasie, wysyła naprzód przeprzęgi re-

nów, dla zmienienia onych w pewnych odległościach. Ci, którzy nie mają własnych renów, najmują od miejsca do miejsca.

Reny są nadzwyczaj wytrwałe na głód i utrudzenie, biegą bez oddechu wiorst dwadzieścia pięć lub trzydzieści, wszakże gdy się czują bardzo strudzone, a podróżny nie ma wyrozumienia na ich sił wycieńczenie, padają na śnieg dla wytchnienia, a wówczas najsilniejsze razy, nie są w stanie zmusić je do powstania, póki nie wypoczną dobrze i nie wstaną dobrowolnie.

Nadużywając rena, można jechać bez popasu wiorst sto albo więcej, ale podróżny, jadący z wyrozumieniem, nie ujeżdża jak wiorst pięćdziesiąt mniej więcej.

Reny zrodzone dla stref północnych, nie mogą znosić nietylko upałów, ale nawet miernego ciepła; dla tego w końcu Kwietnia lub na początku Maja, uprzedzając początki wiosny i topnienie śniegów, właściciele porachowawszy swe reny tak stare jak nowonarodzone, poznaczywszy one, wysyłają z pastuchami w góry Uralskie, przypierające do morza Lodowatego, gdzie śnieg nigdy nie ginie, i gdzie z przyczyny zimna, nie ma owych zastępów komarów, których reny znosić nie mogą. Dopiero jesienią, gdy błota zamarzną i śnieg ziemię okryje, trzody renów, wracając na swe zimowe stanowiska, zaczynają być użyteczne swym właścicielom.

Reny są dobrodziejstwem północnych okolic: futro ze starych renów, zastępuje mieszkańcom tej zimnej strefy miejsce bielizny, odzienia, pościeli,

obuwia, czapek. Skórki z młodych renów, nazwane w użyciu i handlu *pieszkami*, mają włos miękki i lustrowy, używane są do odzieży lżejszej i strojniejszej, podszywają niemi tułuby i krótkie odzienia kobiece do domowego użycia; mężczyźni używają je na czapki i pewne kapturki nazwane *tryuszkami*. Skórki zaś z renów roczniaków, znane pod nazwiskiem *neplujów*, używane są na tułuby czyli szuby nazwane *jagami*.

Nepluje mają włos nizki, lśniący. Kasztanowate tylko są używane na *jagi*, i stanowią wierzchnie pokrycie; mając włos obrócony do wierzchu, ze spodu podszywają się flanelą a czasem innem futerkiem. Takowe *jagi* idą w handel do Tobolska i Irbitu.

Tak *nepluje* jak *pieszki*, tylko kasztanowate są cenione i idą w handel; szacunek onych się podnosi w miarę ciemności włosa, białe zaś i srokate, są najczęściej zużyte na potrzebę miejscową.

Mięso z renów, gdy nie chude, jest wcale smaczne. Zbliża się ono podobieństwem smaku do sarniny, zarywając także na łosinę; wszakże Ruscy nieradzi je jedzą, a nawet gdy jedzą, nieradzi z tem się wydają, okazując wzgardę dla tego mięsa jako pokarmu ulubionego Ostyaków. Ruscy bowiem okazują wielką wzgardę dla tego podbitego plemienia, a nawet przymieszanie krwi ostyackiej do jakiego rodu, uważają za hańbę.

Języki renów są bardzo smaczne i delikatne: posyłają ten przysmak do Tobolska, Moskwy, Petersburga.

Ren tak jest potrzebnym dla Ostyaka lub Samojeda, że niedostatek jego czuje jakby niedostatek własnego członka. Na renie, ten mieszkaniec północy jest chyży, rączy, wolny, odważny, przebywa tysiące wiorst bez utrudzenia i bojaźni, ale, pozbawiony rena, nie czuje w zupełności siły, jakby pozbawiony nóg własnych.

Niedość wymienionych korzyści. Jedną z najważniejszych jest, że w czasie niepomyślnego polowania lub nieszczęśliwej rybołówki, reny są jedynym pokarmem zabezpieczającym od głodu życie tamecznych mieszkańców. Przemysł, otworzony handel, zabezpiecza ruskich mieszkańców tamecznej okolicy od głodu, zaopatrując ich spiżarnie mąką i inną żywnością dowozową ale Ostyak i Samojed, nie wprowadziwszy jeszcze tych płodów zakrajowych, w potrzeby życia codziennego, poprzestając na spiżarni, w której od wieków czerpali ich przodkowie, nie ma innej asekuracyi przeciw głodu jak mięso z renów.

Powiedziawszy słów kilka o renach, wracam do naszej przejażdżki.

Mimo dzielność renów, mimo zręczność grzecznego woźnicy, mocno żądałam, aby co prędzej wrócić do domu, gdyż, jakkolwiek opatrzyłam nogi w najlepsze ciepłe obuwie jakie miałam, to jest, w buty wełniane pończochową robotą, w których przebyłam całą drogę do Syberyi, to okrycie skóry, tak było małoznaczące w miarę mrozów berezowskich, że się wydawało dla czucia, jakbym była bez pończoch nawet. Zimno tem mocniej czuć się dawało,

że nogi musiały być z narty na bok spuszczone, a tem samem wystawione na działanie powietrza. Widząc wszakże zadowolenie naszego przewodnika, i z dziarskości renów i z własnej zręczności, nie śmiałam prosić o skrócenie podróży; wszakże na końcu wróciłyśmy do domu.

Myśląc, że mam nogi odmrożone, zaraz je zanurzyłam w zimnej wodzie; pokazało się jednak, że obawa była próżna, była to nieczułość, pochodząca z mocnego przeziębienia.

Dla ludzi draźliwszych na zimno, lub kobiet mających odbywać daleką podróż renami, otaczają nartę po bokach deskami, robiąc z niej rodzaj skrzyni, z wierzchu przyrządzają budę z płótna, rozciągającą się na całą długość narty. Po bokach zostawiają się otwory dla wejścia, które się zapuszczają płótnem jak firankę.

Wewnątrz uściełają się piernaty, poduszki, na których podróżny się kładnie, okrywając się kołdrą z futra.

W Syberyi, przynajmniej w części mnie znajomej, nie podróżują inaczej, tylko leżąc: jest to zwyczaj czy gust narodowy. Sybiracy nie pojmują nawet, aby inaczej mogło być wygodnie.

(Ewa Felińska — „Wspomnienia z podróży do Syberyi i pobytu w Berezowie“.— Wilno, 1850.)

ZIMA I GŁÓD.

Dzień piękny choć mroźny. Promienie słońca, które zakreśla już na niebie łuk duży odbijając od skrystalizowanego śniegu, odsyłają do oka blask miliona brylantów rozsypanych po białym kobiercu, którego krańców oko dojrzeć nie może. Powietrze ciche choć mroźne. Chodziłam sama na przechadzkę. Jak miło odetchnąć wolnemi piersiami w tej pustyni! Jaka majestatyczna cichość wokoło! Jestem sama — zupełnie sama. I myśl moja leci wysoko, buja po przestrzeni i nic nie wstrzymuje jej lotu. Czuje, że ona jedna króluje na tej pustyni, i czy to rozwinąwszy skrzydła na prawo, szybując niezmierzone przestrzenie, zechce pobujać nad cieśniną Beringa, czy zmordowana zwróci lot na lewo i zechce poigrać na najeżonym głazami grzbiecie Uralu, zawsze ona jedna na tej wysokości, nie spotka myśli drugiej coby skrzyżowała jej drogę.

I przyrodzenie całe spoczywa w głębokiem milczeniu, jakby szanując samotność ducha pustyni. Żaden powiew wiatru nie wstrząśnie gałązką, żadne żywe stworzenie nie zaszeleszcze, żaden ptak nie poruszy powietrza skrzydłami. Jest coś tak uroczystego w tej zupełnej, w tej głębokiej ciszy. Radabym spędzać dnie całe na tej samotnej przechadzce i nigdy, nigdy nie wracać do domu. Tak ciasno między ludźmi, tak zimno duszy!

Prawda. Ale na tym obszernym przestworze zimno ciału, i domaganie się ciała bierze górę. Moje europejskie odzienie i obówie, niedługo może się opierać zimnu berezowskiemu. Trzeba być dzieckiem tutejszego przyrodzenia, niedźwiedziem lub Ostyakiem, albo przynajmniej pożyczyć ich obyczajów, aby otrzymać uśmiech, a przynajmniej nie zlodowacieć na łonie tej niepieszczotliwej matki.

Trzeba wracać. A to z tym większym żalem, że nie zawsze w tych oddalonych przechadzkach można używać zupełnej samotności jak dzisiaj. Głębokość śniegu nie pozwala zboczyć na bok według fantazyi, tylko zmusza trzymać się utartej drogi, która jedna tylko ciągnie się wstęgą od Berezowa do Tobolska. Na tej drodze można często spotykać ludzi; czy to Ostyaka w pożyczonej u rena skórze zaglądającego ci w oczy ciekawie, czy też Sybiraka ruskiego plemienia z siekierą za pasem i łukoszkiem w ręku, wracającego od więcierzy lub stanków.

Aby sobie wytłumaczyć tę zupełną ciszę, ten sen letargiczny przyrodzenia w około Berezowa, trzeba

przypomnieć, że wszystkie ptastwo odlatuje na zimę w cieplejsze kraje, nie mogąc wytrzymać srogości tutejszej zimy, zwierzęta zaś odziane dobrem futrem, unikając sąsiedztwa ludzi, cofają się w lasy głębokie których nie braknie, i gdzie ich nie tak łatwo wyśledzi człowiek sprzysiężony na ich zagładę.

Mieszkańcami lasów berezowskich są: łosie, niedźwiedzie, rosomaki, lisy, piesaki, wiewiórki, sobole, gronostaje, zające białe. Na te ostatnie nikt z ruskich nie poluje, brzydząc się ich mięsem, skóry zaś są tak tanie, że nie wynagrodzą kosztu przewozu do Tobolska, gdzie je wyprawiają i puszczają w handel. A zatem zając, chyba czasem, przypadkiem, wpada w pułapkę nastawioną na inną zwierzynę.

Wilków nie ma w okolicy Berezowa, równie jak dzików. Zapewne z przyczyny niedostatku dębów, ta ostatnia zwierzyna nie lubi tam gościć.

Ponieważ ptastwo, które jest głównem pożywieniem Sybiraków, odlatuje na zimę, przeto mieszkańcy tutejsi muszą się zaopatrywać w żywność na całą tę porę roku. W jesieni polowanie na ptastwo daje plon bardzo obfity; każdy więc mieszkaniec przygotowuje na potrzebę swego domu ilość stosowną, czy to zdobywając zwierzynę własnym przemysłem, czy też nabywając ją od Ostyaków.

Ten zapas, bez żadnych zachodów przechowuje się bardzo dobrze w stanie zmarznienia. Pod wiosnę, gdy powietrze zaczyna się cokolwiek ocieplać, Berezowianie układając pozostały zapas w lodow-

niach, zasypują go śniegiem. Śnieg ten, nie dopuszczając przystępu powietrza, zachowuje go w czerstwości do rozpoczęcia na nowo polowania.

Zimą w czasie tęgich mrozów i za dobrej drogi, przywożą czasem do Berezowa z Tobolska mięso wołowe bardzo tłuste, które w Berezowie nazywają *mięsem kirgizkiem*. Takowe mięso rozkupują mieszkańcy pudami, a zagrzebawszy w śnieg jak wyżej powiedziałam, zachowują je do Czerwca i Lipca, które nie zmieniając koloru przechowuje się do użycia.

Ostyacy robią równie jak Ruscy, zapas zwierzyny na zimę całą, zamrażając ją; wszakże nie robią zapasów zbyt wielkich, spuszczając się na połów ryb i mięso ze zwierząt odzianych futrem, na które polują. Trafia się jednak, że przy niepomyślnej rybołówce lub polowaniu zimowem, zrobione zapasy wyczerpują się przedwcześnie, w takim razie niektóre familie ostyackie okropnym zagrożone są głodem.

Rząd, zapobiegając podobnym wypadkom, utrzymuje w Berezowie magazyn zaopatrzony w mąkę, każąc przedawać po cenie umiarkowanej; ale familie tylko bliżej mieszkające Berezowa mogą korzystać z tego dobrodziejstwa; dalsze, lub mieszkające za rzekami, w czasie kiedy rzeki są w stanie nieprzebytym, nie mogą w niem brać udziału. Dodać do tego, że Ostyacy nie mają pieców, nie umieją piec chleba i nie są przyzwyczajeni robić z mąki innego pokarmu, jak podkłócania polewki w której zgotowała się ryba.

Następujące zdarzenie da miarę okropności położenia, w jakiem Ostyacy nieraz się znajdują gdy im zabraknie żywności. Miało ono miejsce w berezowskim powiecie na lat kilka przed mojem przybyciem, i sprawa o tem zdarzeniu znajduje się w aktach tutejszych. Prócz tego, mówiłam z wielą świadkami żywymi i sędziami tej sprawy.

Pewna familia Ostyaków, złożona ze starej matki i dwóch synów, z których jeden był żonaty i miał dwoje dzieci, a młodszy miał tylko lat dwanaście, z przyczyny, że jeden tylko mężczyzna, będąc dostatecznie silnym i dojrzałym, trudnił się wyżywieniem innych członków rodziny, nie przysporzywszy dostatecznej żywności, była zaskoczona głodem.

Na nieszczęście ryba nie nadeszła, ptastwo jeszcze nie przyleciało, polowanie na zwierzęta dla miejscowych okoliczności było bardzo nieszczęśliwe, a zapasy jesienne przy braku innych zasiłków zupełnie się wypotrzebowały, nawet kości rybie, które dostarczają w czasie głodu posilnego bulionu.

Przy takim niedostatku, głód odjął już siłę i energię całej rodzinie; zostawała tylko jedna kolej, czekać śmierci powolnej i okropnej.

W takiej ostateczności, złożono familijną radę z której wypadło, aby lepiej poświęcić jedną osobę na pokarm dla drugich, niż wszystkim razem ginąć śmiercią nieuchronną i przykrą. Nadchodząca bowiem wiosna wzniecała otuchę, że lada dzień ptastwo powróci ze swej zimowej wędrówki i przyniesie pokarm obfity, byle doczekać tych dni pożądanych.

Gdy się wszyscy zgodzili na ten środek ratunku, uradzono aby ciągnąć losy, kto ma służyć ofiarą dla okupu drugich. Ciągniono — padł los na syna żonatego.

Żal całej rodziny był wielki. Po krótkiej chwili, matka zastanowiwszy się jak syn jej starszy był potrzebnym dla całej rodziny, przełożyła, że gdyby go ubito, los ich, nawet przy najpomyślniejszych okolicznościach, nie polepszyłby się wcale, bo któżby w takim razie zdobywał pożywienie? A tak zarówno przyszłoby umierać wszystkim.

Uwaga matki trafiła do przekonania całej rodziny; ale kto zechce zastąpić miejsce wskazanej losem ofiary? Wszyscy milczą. — Nakoniec matka przemówiła.

— Zjedzcie mnie lepiej w miejsce syna. Ja stara, nie zdam się na nic nikomu, i mnie też nie bardzo żal życia, a wam jeszcze żyć tylko na świecie.

Słowa matki przyjęte zostały i uskutecznione; matka została zabitą i zjedzoną, wszakże przynajmniej ofiara tej ostatniej nie była daremna: w kilka dni ryba się pojawiła i rodzina uratowaną została.

Jurty ostyackie porozrzucane pojedyńczo po lesie, nie dają przystępu ciekawości niczyjej; sąsiedzi nie mogą zaglądać w sprawy codzienne współmieszkańców, a zatem i ten wypadek mógłby przejść niedośledzony, gdyby sami sprawcy tej zbrodni nie wyznali jej dobrowolnie, nie domyślając się jakiej ulegną odpowiedzialności.

Gdy nadeszła wiosna i odkryła się żegluga, Berezowianin jeden, mający stosunki handlowe z fa-

milią o której była mowa, zajechał do niej, a znajdując ją zmniejszoną jednym członkiem, zapytał o starą matkę.

Zjedliśmy z głodu, odpowiedziano po prostu i jak najnaiwniej rozpowiedziano całe zdarzenie.

Berezowianin, zapatrując się na to zdarzenie z punktu innych wyobrażeń, przyjechawszy do Berezowa rozpowiedział wszystkim ten szczególny wypadek, a gdy on doszedł wiadomości urzędników miejscowych, ci pociągnęli do sądu całą rodzinę, i stosownie do ustaw, osądzono starszego syna w ciężkie roboty do kopalni, młodszy zaś, jako niemający jeszcze lat zupełnych, był skazany na wygnanie do Surgutu, miasteczka leżącego o wiorst 800 od Berezowa, należącego do tegoż powiatu.

(Ewa Felińska — „Wspomnienia z podróży do Syberyi i pobytu w Berezowie".— Wilno, 1850.)

Sprawa księdza Sierocińskiego.

Z księdzem Sierocińskim i jego towarzyszami nieszczęścia tak się stało. A że to było w Omsku, bliżej mojego zakładu i niedawnymi czasy, rzecz tę więc całą wiem nie tylko dokładnie, ale jak tylko być może, najdokładniej, bo cała o tem wie okolica, a ja w tym przedmiocie rozmawiałem i rozpytywałem się szczegółowo nie tylko Polaków, ale i Moskali, Sybiraków, jednych i drugich naocznych świadków; znałem nawet takich, co z księdzem Sierocińskim siedzieli razem w więzieniu w Omsku. Wszystkich opowiadania były najzgodniejsze. W tej więc jednozgodności zeznań spoczywa przerażająca prawda, o której chcę mówić.

Ksiądz Sierociński przed powstaniem listopadowem był przeorem, czy superyorem klasztoru księży Bazylianów w Owruczu na Wołyniu, gdzie były szkoły pod ich dozorem. Po wybuchu re-

wolucyi w Warszawie jako prawy syn ojczyzny, ksiądz Sierociński nie pozostał nieczynny, przygotowując się sam i innych do powstania, w którem bardzo czynny miał udział. Schwytany przez Moskali, dostał się do więzienia; wyrokiem sądu i wolą Mikołaja zdjęto z niego kapłańskie święcenia i z księdza przeora skazany został na prostego kozaka. Posłano go więc na Syberyę do pułków kozackich, do których wcielony, wraz z innymi kozakami czas jakiś w stroju kozackim, z lancą, szablą i na koniu uwijał się po stepach kirgizkich za Kirgizami. W Omsku istnieje od niejakiego czasu szkoła wojskowa kozacka; potrzeba tedy było do niej nauczyciela. Przypomniano sobie, że ksiądz Sierociński był profesorem i że miał pod swym dozorem szkoły, że przeto musi być zdatnym do uczenia i światłym człowiekiem; zresztą sami czynownicy, rozmawiając niekiedy z nim, spostrzegli w nim rzeczywiście zdolności i wysoką naukę. I w rzeczy samej ksiądz Sierociński był prawym Polakiem, sumiennym profesorem, sumiennym kapłanem i bardzo światłym człowiekiem i oprócz przymiotów nieodbitych dla nauczyciela, posiadał jeszcze kilka języków obcych, jako to: niemiecki i francuzki, a więc z kozaka, robią go nauczycielem, w szkole Omskiej, *po ukazu*, ale nie nauczycielem, mającym prawo do znaczenia, do zasług i stopni, tylko nauczycielem z rangą prostego na zawsze kozaka, zawsze należącego i liczącego się do swego pułku. Podobnie głupie i śmieszne dziwactwo tylko w jednej Rosyi jest możliwe. Ksiądz przeor Sierociński,

w wątłej i szczupłej organizacyi, przy osłabionem zdrowiu i tkliwej aż do rzewności duszy, posiadał moc i hart duszy niepospolity, wysokie przekonanie i uczucie o godności człowieka, czuł mocno niesprawiedliwość Polsce wyrządzoną i miał wiele litości dla nieszczęśliwych swych braci wygnańców, współwięźniów w Syberyi. Rzucił więc myślą, duchem i sercem po niezmiernym obszarze pustyń tej Syberyi, policzył nieszczęśliwych, zrachował siły i zasoby, a przypomniawszy szczęście Beniowskiego, powziął słodką lecz zwodniczą nadzieję uwolnienia siebie i wszystkich nieszczęśliwych w Syberyi, jeżeliby już samej Syberyi z pod jarzma despotycznego uwolnić było niepodobna. Zaczął tedy przy swoich nauczycielskich zatrudnieniach zabierać znajomości i zawierać stosunki tak z Polakami, których w Omsku wcale nie brakło, jako też z Rosyanami, mającymi wyższe wychowanie, ukształcenie, zdolności i wstręt do stanu, w jakim się znajdowali. Ci, podzielając zamiary i cele księdza przeora Sierocińskiego, jęli przygotowywać innych do tychże zamiarów i celów. Nie trudno było o zwolenników, gdzie tylko było uczuć zadraśniętych, gdzie tyle serc zakrwawionych krzywdą i niesprawiedliwością. Do tych zamiarów należeli Polacy, Rosyanie i Tatarzy, żołnierze i osiedleńcy. Potrzeba było być członkiem, to jest przypuszczonym do wszystkich działań tajemnie, ażeby dokładnie módz znać sposoby, jakich chcieli spiskowi użyć do wykonania powziętych zamiarów; zresztą potrzebaby być bardzo nieoględnym, ażeby wiedząc nawet, odkrywać

szczegóły działań, których wyjawienie dziś jeszcze mogłoby narazić niejednę osobę i obudzić jeszcze większą czujność i surowość władz. Dosyć powiedzieć, że celem zamiarów Sierocińskiego miało być oderwanie Syberyi od Rosyi, a jako środek do tego, uwolnienie wszystkich z ciężkich robót i osiedlenia. W razie, gdyby się nie powiodło, miano się cofać zbrojną ręką przez stepy Kirgizkie do państwa Taszkent, gdzie jest wielu katolików, albo do samej Bucharyi, a stamtąd, jeśliby tego konieczna wymagała potrzeba, przedzierać się do posiadłości angielskich w Indyach wschodnich.

Każdy pomysł, każdy zamiar, choćby najświetniejszy i najwięcej za sobą słuszności i prawdopodobieństwa udania się mający, jeżeli się nie ziści, nie uda, uważa zwykle gmin, nie czujący i nie rozumiejący, za śmieszny i płochy, a jego sprawcy, jako słabsi, a raczej nieszczęśliwi i dlatego pokonani, wliczeni zostają zwykle w poczet ludzi zuchwałych, samolubów, a nawet zbrodniarzy, pragnących tylko własnego wyniesienia się. Ja, co miałem sposobność poznać nieco i Syberyę i jej stosunki i usposobienie jej mieszkańców różnych kategoryi, śmiało mogę twierdzić, że zamiar Sierocińskiego oderwania Syberyi od Rosyi był na mocnych oparty podstawach i mógł się udać; jakim sposobem, nie rozwodzę się, ani chcę o wszystkiem mówić. Jakkolwiek bądź, pomysł przeora Sierocińskiego znalazł wierny odgłos w wielu piersiach i objął znaczny obszar Syberyi; wszystkie przygotowania były już poczynione, szło tylko o zaczęcie,

o wykonanie, co się stać miało za dni parę. Omsk miał dać hasło, jako najwięcej mający wojska, spiskowych i jedyną w Syberyi artyleryę i wiele zapasów wojskowych, jak ammunicyi, broni, kasę i t. d. Spiskowi rączo i śmiało brali się do dzieła. Nazajutrz wieczorem miała się zacząć rewolucya. Lecz jak wszędzie, tak i tam znaleźli się ludzie podli i nikczemni, którzy, jak złośliwy szatan, wszędzie i wszystkiemu, co dobre i uczciwe, stają na przeszkodzie. I któż to jeszcze byli ci ludzie? Wstyd mi rumieni czoło, duma narodowa oburza się we mnie, a serce nie chciałoby wierzyć takiej szpetności i szkaradzie uczuć; cobym dał za to, gdybym przed światem mógł ukryć tę hańbę, tę skazę, na święte imię naszej narodowości rzucone! Lecz uczucie sprawiedliwości nakazuje mi istną i bezstronną powiedzieć prawdę. Tymi ludźmi nie byli ani Rosyanie, ani Sybiracy, ani Tatarzy; to byli Polacy, i to Polacy, walczący i przelewający niedawno przedtem krew swoję za niepodległość swojej ojczyzny Polski i właśnie dlatego od jej i ich ciemięzcy na całe życie do batalionów syberyjskich na prostych żołnierzy skazani. Było ich trzech, wszyscy trzej żołnierze powstania 1830 roku; dwóch z nich służyło w wojsku polskiem jeszcze przed rewolucyą. Jednego nazwisko przepomniałem, dwóch drugich nazwiska pamiętam dobrze: nazywali się Grajewski, rodem z kongresowej Polski, i Knak, rodem z samej Warszawy. Ci trzej nikczemnicy i wyrodni Polacy w wigilią zaczęcia rewolucyi, a zatem w najniebezpieczniejszej chwili, upatrzywszy sposobność,

poszli do komendanta fortecy Omska, pułkownika Degravé i wszystko mu odkryli. Na nieszczęście wiedzieli wiele, bo na nich wiele liczono: byli zatem przypuszczeni do najważniejszych tajemnic. Wiedzieli, że przeor Sierociński był naczelnikiem i którzy po nim najwięcej mieli wpływu i znaczenia; wiedzieli, kiedy i jakim sposobem miała się rewolucya rozpocząć. Wszystko to odkryli i od razu wszystkiemu temu przygotowaniu zapobieżono. Ponieważ Sierociński i niemal wszyscy naczelnicy wymienieni, jak i sami zdrajcy, byli w Omsku lub w jego sąsiedztwie, natychmiast tedy ich poaresztowano i wydano najsurowsze rozkazy i rozporządzenia do miejsc najodleglejszych, ażeby jak najrychlej aresztować wszystkich podejrzanych lub jakikolwiek wpływ mających, winnych czy niewinnych: Polaków, Rosyan, Sybiraków, Tatarów, żołnierzy, osiedleńców, włościan. Najwięcej zaaresztowano Polaków. Trudno wiedzieć o liczbie przytrzymanych w całej Syberyi; bez przesady jednak można ich liczbę podnieść do tysiąca blizko początkowo; później ich liczba znacznie się zmniejszyła. Przytrzymanych zwożono do Tobolska, Tomska, a najwięcej do Omska, siedliska spisku i jego naczelników. Te aresztowania nastąpiły w 1834 i 1835 roku. Dano znać o wszystkiem do Petersburga, zaczęło się śledztwo. Dwie komisye jedna po drugiej, wyznaczone do prowadzenia śledztwa, rozwiązały się, nic nie postanowiwszy; tak rzecz zdawała się zagmatwaną, tyle osób było w tę sprawę zawikłanych. Sumienie członków tych dwóch ko-

misyj nie ośmieliło się brać na siebie tak wielkiej odpowiedzialności, ponieważ było krępowane z jednej strony wielkiem nieszczęściem winnych, których zamiar usprawiedliwiało samo ich położenie i wielką liczbą ofiar, a z drugiej nieubłaganem prawem despotyczno-carskiem. Trzecia dopiero komisya, złożona z członków z Petersburga nadesłanych, śledztwo to doprowadziło do końca, co wszystko trwało lat przeszło trzy. Z oskarżonych jednych wypuszczono zaraz na początku śledztwa, drugich nieco później, innych po ukończonem śledztwie, jako niewinnych; a którzy się zdawali być winnymi, tych zatrzymano dla poddania ich prawu. Ksiądz przeor Sierociński w ciągu trzechletniego więzienia i śledztwa zachował niezachwianą stałość charakteru i nieugiętą moc duszy. Poddawszy się woli Bożej prawdziwie po chrześciańsku, odpowiadał z godnością na zapytania i nic z niego nie mogli wydobyć; a jednak pod zasłoną żelaznej woli, pod nieuskromioną hardością ducha, pod tym zuchwałym i nieugiętym temperamentem, Sierociński miał czułe serce i tkliwą, rzewną duszę: przymioty tak na pozór sprzeczne z sobą, które jednak w samej istocie zawsze się znajdują w każdym niepospolitym mężu. Miałem sposobność czytania poezyj księdza Sierocińskiego, które urywkami w ciągu trzechletniego więzienia pisał. W tych dorywczych i jakby w natchnieniu pisanych urywkach objawia się cała piękna i szlachetna Sierocińskiego dusza; ileż tam chrześciańskiej pokory, ile godnej człowieka dumy, ile tęsknoty duszy, ile prawości Polaka, ile smutku,

żalu, cierpień i nieszczęścia duszy człowieka, dla którego tu na ziemi już niema nadziei!

Nareszcie zapadł wyrok w Petersburgu, skazujący księdza przeora Sierocińskiego, Drużdżałowskiego, Jabłońskiego, Szokalskiego, Górskiego czy Zagórskiego, przeszło sześćdziesięcioletniego starca, oficera jeszcze z wojen Napoleona, wszystkich skazanych za udział w rewolucyi 1831 roku do batalionów syberyjskich na prostych żołnierzy na całe życie, i Rosyanina Mieledyna, każdego *na siedm tysięcy kijów bez litości;* wyraźnie w wyroku było, *na siedm tysięcy kijów bez litości (na siem tysiacz pałok bez poszczadi).* Gdyby przypadkiem który tę karę przeżył, miał być po wyzdrowieniu wysłany do katorżnych ciężkich robót w Nerczyńsku na resztę dni życia swego; masę zaś obwinionych, niemniej w sprawę zawikłanych, skazywał wyrok stosownie do przestępstwa, na trzy, dwa tysiące, tysiąc i pięćset pałek, lub rózg, a później jednych przeznaczał do ciężkich robót na całe życie, lub na pewną liczbę lat, innych od razu skazał na osiedlenie, innych porozsyłał do innych garnizonów w dalekie strony Syberyi.

Nadszedł dzień fatalny wykonania okrutnego i srogiego wyroku, dzień strasznego sądu, bo nigdy tak wielkiej liczby od razu, ni tak surowo nie karano; to było roku 1837, w miesiącu marcu, ale którego dnia, nie pamiętam, a w mieście Omsku. Jenerał Gałafjew, dzikiego i okrutnego serca *nastajaszczyj stupajka,* był przysłany z Petersburga umyślnie dla ścisłego i wiernego wykonania wy-

roku. I istotnie, serce Mikołaja powinno być zadowolone i rozradowane z takiego wyboru; dzikość duszy barbarzyńcy Gałafiewa i chciwość krwi prawdziwie tygrysia oburzyła wszystkich Rosyan, nawet katów rosyjskich, najwięcej przywykłych do jej rozlewu. Do dnia zatem dwa całe bataliony, każdy po tysiąc ludzi, a to dla łatwiejszego rachowania tysięcy pałek, wystąpiły za miasto Omsk do egzekucyi wyroku. Jeden z tych batalionów miał mordować tych, co na siedm tysięcy pałek byli skazani, a drugi tych, co na mniejszą ich liczbę byli osądzeni. Oba bataliony wyrównawszy się i wyciągnąwszy we dwa szeroko rozwarte szeregi, stanęły w pewnej od siebie odległości; kat Gałafiejew miał baczne oko na wszystko; stał przy batalionie o siedmiu tysiącach kijów, prawdziwie wierny zastępca Mikołaja. Podług ustaw i zwyczajów rosyjskich, żołnierze, puszczający, jak się pospolicie mówi, przez rózgi, powinni stać w wolno ściśniętych szeregach, a bijąc, niedaleko odrywać łokieć od boku i nie wysuwając naprzód nóg z szeregu, trzymać je w postawie żołnierza pod bronią; pręty zaś ich powinny być takiej tylko grubości, aby ich trzy mogło wejść do lufy od karabina. Tu było wszystko inaczej i na opak. Gałafiejew kazał żołnierzom stanąć w odstępach na długość ręki; bijąc, kazał wyciągnąć ramiona na całą ich długość i występować jedną nogą naprzód z szeregu dla tem sposobniejszego zadania razu z całej mocy; pręty zaś były to po prostu kije, z których jeden tylko mógł się zmieścić w lufie od karabina. Wyprowadzono nieszczęśliwych

więźniów z ich więzień i przyprowadziwszy na miejsce kary, przeczytano im wyrok. Nie będę zatrzymywał uwagi czytelnika nad batalionem, mającym karać większą liczbę, lecz na mniejszą chłostę skazanych ofiar-męczenników. Zatrzymam się tylko nad batalionem, mającym zamordować Sierocińskiego i jego pięciu towarzyszy. Zaczęła się tedy krwawa egzekucya podwójna i jęki do nieopisania dziko mordowanych. Którego z nich naprzód puszczono przez kije i bito, tego już nie pamiętam; wiem, że bito każdego z kolei, a Sierocińskiego jako naczelnika spisku, a następnie jako najwinniejszego, zostawiono na sam koniec, aby serce jego przesycić boleścią, zgrozą i trwogą, widokiem mąk i cierpień jego towarzyszy i tych, jakie jego samego czekały. Bito, mordowano każdego podług litery dekretu, to jest, bez litości. Żaden zatem z nich, oprócz Szokalskiego, za którym wstawił się doktor batalionowy i którego z tego powodu nie tak mocno katowano, siedmiu tysięcy kijów nie wychodził, nie wytrzymał; padł w śnieg, krwią oblany, i skonał albo pod razami na miejscu, albo wkrótce potem. Ksiądz przeor Sierociński, patrząc na ten skon i męki swych towarzyszy, gotował się w duchu, jakby w ogrójcu, do strasznego przejścia, do okropnej, męczeńskiej śmierci. Przyszła nakoniec kolej i na niego. Gdy mu podług zwyczaju obnażono plecy — a było to w marcu i na Syberyi — i przykrępowano ręce do karabina, jak to jest także we zwyczaju w podobnych razach, za który dwaj żołnierze prowadzą mordowanego między szeregami

dla zachowania jednostajności kroku; gdy, mówię, obnażono i przywiązano księdza Sierocińskiego do karabina, doktór batalionowy przybliżył się do niego dla pokrzepienia go wzmacniającemi kroplami, gdyż, jak mówiłem, będąc delikatnej organizacyi, po trzechletniem więzieniu zupełnie z sił opadł i był więcej podobny do bladego widziadła, do cienia człowieka, niż do samego człowieka. Lecz hart duszy, nieugięta wola i duma godna i szlachetna pozostały te same; na podane więc sobie przez doktora krople, odwróciwszy głowę, odpowiedział: »Pijcie krew moję, krew naszą; ja waszych kropel pić nie potrzebuję, nie chcę«. A gdy dano rozkaz do męczeńskiego marszu, pobożny kapłan, prawy, nieodrodny od swoich prawowiernych przodków, Polak, Sierociński zaczął na głos mowić psalm pokutny: *Miserere mei Deus, secundum magnam misericordiam tuam* i t. d., to jest: Zlituj się nademną Boże według wielkiego miłosierdzia Twego i t. d. Gałafiejew krzyknął z całą wściekłością, jakby go zły duch opętał, raz, drugi i trzeci: »Silniej bić, silniej, silniej«! *pokrepsze nakazywał, pokrepsze, pokrepsze!* To też tak silnie go mordowali, że zaledwie przeszedłszy tylko raz jeden między szeregami w drugi koniec batalionu, to jest po tysiącu kijach, padł w śnieg, cały krwią zlany, omdlały i prawie bez przytomności; chciano go postawić na nogi, ale się na nich utrzymać już nie mógł. Na pogotowiu były sanie z przyrządzonem rusztowaniem: postawiono Sierocińskiego na kolanach na tem rusztowaniu, ręce mu w tył zagięto i związano, nachylono

nieco głowy i karku i w takiej postawie tak go przytwierdzono, tak przykrępowano, iżby się nie mógł ani naprzód, ani w tył pochylić, ani podnieść; tak uwiązanego na saniach zaczęto między szeregami wozić, a Gałafiejew ciągle krzyczał: „Mocniej i mocniej“! Z początku wożenia Sierociński wydawał jeszcze jęki boleści, które coraz wolniejąc i słabnąc, w końcu zupełnie ucichły. Sierociński jeszcze oddychał do czterech tysięcy kijów—i Bogu ducha oddał; resztę razów, to jest, trzy tysiące kijów, wyliczono już na jego trupie, a raczej na nagim szkielecie. Tak zaś nielitościwie bito wszystkich, a szczególniej Sierocińskiego, że podług wyrażenia naocznych świadków, tak Polaków, jak i Moskali, z którymi sam o tem rozmawiałem, ciało stłuczone, posiekane na zrazy, lgnęło do kijów i precz odlatywało; nagie tylko kości się bieliły, które prawie przetrącano, i wnętrzności było widać. Na tak srogie, nawet w samej Rosyi niepraktykowane dotąd morderstwa wszyscy się oburzali. Nietylko Polacy, ale sami Rosyanie, którzy jako żołnierze musieli bić tych nieszczęśliwych, a z którymi sam mówiłem umyślnie dla dowiedzenia się o istotnej prawdzie, zaręczali mi najsumienniej, iż nigdy nikogo nie widzieli tak srogo, okrutnie i dziko zamordowanego, jak tych polaków zamordowano, a cała zachodnia Syberya mówi o tym wypadku, jako o nadzwyczajności, o jakiej dotąd nie słyszano. Tych, którzy jeszcze w okropnych boleściach oddychali, i tych, których na miejscu pomordowano, zaniesiono do szpitala i niebawem

Polaków i jednego Rosyanina w jednym za miastem pochowano grobie. Pozwolono Polakom, proszącym o to, wystawić na grobie swych pomordowanych braci znamię zbawienia, i do dziś dnia (w 1846 r.) wielki, czarny, drewniany krzyż, jako znak męczeństwa, sterczy wśród stepu, samotny i odosobniony, rozpinając swe ramiona nad mogiłą ofiar, jakby dla okazania nad niemi opieki za to, że w imię krzyża, w imię sprawiedliwości śmierć poniosły. Ksiądz Sierociński i jego towarzysze pomarli śmiercią, jaką umierali tylko męczennicy i święci. Taka śmierć, takie męczeństwo musi mieć swoich apostołów i wyznawców. Jeden tylko Szokalski, za którym mocno i szczerze wstawił się doktór batalionowy i który z tego powodu nie tak okrutnie był mordowany, po kilkomiesięcznej chorobie, wyleczywszy się z ran zadanych, był wysłany podług dekretu na całe życie do robót ciężkich do nerczyńskich zakładów. Ale ból z przyczyny egzekucyi tak osłabił jego władze umysłowe, że dostał pewnego rodzaju obłąkania i wkrótce po swojem do Nerczyńska przybyciu strzałem w głowę życie sobie odebrał.

(Rufin Piotrowski — „Ucieczka z Syberyi“. — Kraków, 1902.)

W UCIECZCE Z SYBERYI.

Nadszedł rok 1846, i jam postanowił użyć tej pory roku dla dopięcia zamiaru, którego nie mogłem, po dwakroć usiłując, wykonać przeszłego lata. Bawiąc przez czas dość długi na Syberyi i oznajomiwszy się lepiej z językiem syberyjskim, zwyczajami i miejscowemi okolicznościami, dowiedziałem się, że każdego roku w miesiącu lutym bywa ogromny jarmark w mieście Irbiti, w permskiej gubernii, i że na ten jarmark, trwający cały miesiąc, zjeżdżają się kupcy z całej Syberyi i z całej Rosyi, że jest wtenczas na gościńcach z przyczyny wielkiej liczby i nagle przyjeżdżających powózek, a raczej sani, wielkie zamieszanie; dowiedziałem się też i o innych drobnostkach i szczegółach, o których miejscowy człowiek koniecznie wiedzieć powinien. Postanowiłem tedy pojechać na jarmark, a z pięciu dróg, obrawszy najkrótszą, z jarmarku chciałem się

udać do Archangielska i doczekawszy się wiosny, wsiąść na jaki statek kupiecki, ale nie rosyjski, i na nim odpłynąć do Anglii, lub przynajmniej do Szwecyi lub Norwegii, a stamtąd do Francyi. Lecz muszę tu uczynić wzmiankę o tem, co mnie ostatecznie znagliło udać się do Archangielska.

Od niejakiego czasu zaczęło w Petersburgu wychodzić pismo, a raczej dzieło, poświęcone opisaniu szczegółowemu każdej gubernii pod względem geograficznym, statystycznym, archeologicznym itd. Druga czy trzecia z początku gubernia była archangielska; w szczegółowym jej opisie z mapą doń załączoną, wyszukiwałem środków dla siebie potrzebnych; z niego dowiedziałem się między innemi, że do Archangielska przybywa rok rocznie 460 do 500 okrętów kupieckich, z nielicznym bardzo wyjątkiem rosyjskich, wszystko cudzoziemskich, zagranicznych. To odkrycie było dla mnie nieocenione; mniemałem, że najtrudniej było dostać się do Archangielska, do którego z miejsca, gdziem się znajdował w zakładzie, było tylko 3.200 wiorst, czyli 457 mil polskich, a stamtąd bardzo łatwo przy takiej liczbie okrętów dostać się na którykolwiek z nich. Nastąpił miesiąc luty, a wkrótce i zapusty, dość w tym roku wczesne; kto mógł i chciał, hulał, jadł i pił; jam nie hulał ani pił, bo o czem innem myślałem. Wszystkie władze umysłu i serca skupiły się we mnie w jedno ognisko, w jedno uczucie: pragnienie wolności, któremu nieodstępnie towarzyszyła przepaść śmierci, lub co gorsza, katusze i rusztowanie. Ale im bliższą była chwila

wykonania zamiaru, tem głębszą pokrywałem ją tajemnicą i przed najlepszymi znajomymi i przyjaciółmi najmniejszej nie okazywałem niechęci i niezadowolenia z mojego położenia; owszem zacząłem utrzymywać, że się zaczynam do niego przyzwyczajać i że mi już nie tak przykro było w Syberyi, jak mi się to z początku zdawało. Od miesiąca przeszło wyniosłem się z domku Siesickiego pod rozmaitymi pozorami, aby na niego żadne nie padło podejrzenie z powodu mojego zniknięcia, o którem zapewno ani mu się nie śniło. Dla zmiany rysopisu, w którym wyraźnie powiedziano, żem był łysy, wystarałem się zawczasu o perukę, ale prawdziwie syberyjską, to jest, uszytą ze skóry koziej, niegarbowanej, sierścią na zewnątrz; ta peruka nasadzona na głowę, źle się na niej trzymając i posuwając się coraz w górę, łatwo zdradzała oszukaństwo, ale długie jej włosy ciemno-rudawe dobrze rozczesane, najdoskonalej naśladowały włosy ludzkie; w lecie nie mogłaby mi służyć, na zimę doskonale mi się przydała.

Ach! kto nie był w podobnem mojemu ówczesnemu położeniu i kto się nie przygotowywał do wykonania podobnego zamiaru, ten z trudnością pojmie uczucia, jakie mną w tej chwili miotały: było mi tęskno, smutno, okropnie, wesoło i lubo. Przygotowawszy tedy wszystko, co było potrzebne i możliwe do podobnej podróży i w tej porze roku, postanowiłem drugiego dnia zapust wieczorem opuścić zakład, a raczej z niego uciec. Drugiego zatem dnia zapust, wieczorem dość późno,

przebrałem się, to jest, wziąłem na siebie trzy koszule syberyjskie, z których na wierzch kolorową, kamizelkę sukienną, błękitną z grubego sukna, dwoje gatek, spodnie szerokie sukienne z podobnegoż sukna co kamizelka, krótki kożuszek po kolana, dobrze wyłojony, armiak, na wierzch kożuch długi, dwie pary pończoch wełnianych na nogi, obwiniętych jeszcze sukiennemi szmatami, buty nowe przestrone, z długiemi, marszczonemi cholewami, dziegciem dobrze wysmarowanemi i trącącemi, pas wełniany długi w pręgi czarne, czerwone i białe, którym się mocno podpasałem, na głowę kozią perukę, którą podwiązałem chustką przez uszy, niby od zimna, w rzeczy zaś samej dla tego, aby się lepiej zamaskować i aby się nie suwała po głowie; na perukę nałożyłem czapkę okrągłą, czerwoną z aksamitu, z lampasem ciemnym ze skóry psa, czy innego jakiegoś zwierza, słowem, czapkę, jakiej używają dobrze się mający chłopi syberyjscy w dzień świąteczny, a nawet pisarze i dozorcy; podwinąwszy kołnierz od kożucha zwierzchniego, podwiązałem go chustką dla zasłonienia twarzy od zimna i aby nie być poznanym. Tak przebrawszy się, włożyłem do prostego worka jednę parę butów nowych, foremniejszych od tych, jakie miałem na nogach, jedną koszulę, letnie błękitne ruskie spodnie, niebieską torbę, którąm miał jeszcze z Francyi, wreszcie chleba i ryby dla posiłku na czas jakiś. Włożywszy spodnie w długie cholewy zwyczajem rosyjskim, zatknąłem za cholewę sztylet, aby był zawsze na pogotowiu; w zanadrze włożyłem sto

dziewięćdziesiąt rubli w banknotach 5 i 10 rublowych; ręce zaopatrzyłem w długie skórzane rękawice, sierścią na zewnątrz, opatrzone ciepłą podszewką, a dla uzupełnienia ubioru wziąłem potężną laskę. Kiedy już tak byłem przybrany do niedopoznania, bo nigdy mnie w podobnym ubiorze nie widziano, poleciłem los swój Opatrzności gorącemi modły, aby mi dodała siły i wytrwałości w niebezpiecznem przedsięwzięciu, i późno wieczorem około dziesiątej, ubocznemi a wiadomemi mi drożynami, wyszedłem piechotą z zakładu 6 czy 8 lutego 1846 r. po siedmnastomiesięcznym pobycie na Syberyi, do której przybyłem w miesiącu sierpniu 1844 roku.

Serce mi drżało z trwogi i nadziei: nie szło mi o życie, szło mi o mój zamiar, o moje uczucia. O tej porze roku mrozy w Syberyi są mocne. Mróz tego wieczora, a raczej tej nocy był nadzwyczaj silny, a śniegi tej zimy niezwyczajnie głębokie, księżyc jaskrawo świecił i srebrzył się o latające w powietrzu kryształy śnieżnych cząstek. Przeszedłem po lodzie Irtysz i śpiesznym krokiem, choć w ciężkiem ubraniu, puściłem się drogą ku Tarze. Nocy w Syberyi zimową porą są bardzo długie: gdzież za noc zajść mogę? a co potem robić? — bo pogoń za mną niechybna. Bóg opatrzy — pomyślałem sobie — a dzięki Jemu, mam nie zajęcze serce: jakoś to będzie — i szedłem dalej, chcąc jak najśpieszniej dostać się do Tary, o 12 wiorst od zakładu odległej. Nie wielki uszedłszy kawał od zakładu, usłyszałem za sobą kogoś pę-

dzącego saniami; jadący niemi ledwie mnie minął, stanął.

— Dokąd idziesz? — zapytał mnie chłop, sam jeden siedzący w saniach.

— Do Tary — odpowiedziałem.

— A skąd jesteś?

— Z *zaimki* (to jest z folwarku), z pod Zaliwiny. — Zaliwina była wioska, od zakładu nie bardzo daleko odległa.

— Daj 60 kopiejek, to cię zawiozę do Tary, bo tamtędy mi droga do domu.

— Nie, to drogo; kiedy chcesz, to dam ci 50 kopiejek.

— No, dobrze, siadaj.

Siadłem i pojechałem. Para koni była dzielnych, droga, sanna przewyborna, chłop śpieszył do swego domu na ostatki, a konie przy mrozie same lecieć chciały; lecieliśmy ptakiem, w pół godziny najwięcej byłem w Tarze. Do zakładu, gdzie byłem, mnóstwo przyjeżdżało wieśniaków z mąką, po wódkę, i dla innych potrzeb. Ten chłop był jednym z podobnych, a był gdzieś tam z za Tary o mil kilka. Zsiadłem w Tarze w pierwszej lepszej ulicy; chłop pojechał w swą stronę, a ja poszedłem w drugą. Dzięki Bogu za pomoc. Zwyczajem miejscowym podszedłszy pod okno pierwszego lepszego domu, głosem donośnym i po rosyjsku zawołałem:

— Czy niema koni?

— A dokąd?

— Na jarmark do Irbiti.

— Są.

— A ile?

— Dwa.

— Co chcesz za wiorstę?

— Ośm kopiejek.

— Nie dam tyle, weź sześć.

— No, cóż robić, dobrze.

W parę minut konie były gotowe i zaprzężone do sanek.

— A skąd wy?

— Z Tomska, *prykażczyk* takiego to kupca (pierwszego lepszego rozumie się); mój kupiec pojechał już przedemną do Irbiti, jam się musiał zostać za interesami i dłużej musiałem zabawić, niż się zdawało, a teraz śpieszę, aby się kupiec nie gniewał za spóźnienie się; poganiaj śpiesznie i prędko, dam ci jeszcze na wódkę.

Świsnął chłop, a konie kopnęły z kopyta. W tem zaczęło się chmurzyć, gęsty śnieg zaczął padać; myśmy lecieli, konie już się pomęczyły, a jeszcześmy nie dojechali do nowej stacyi. Chłop zbłądził z drogi i nie poznawał okolicy. Błądząc czas długi, nie było innej rady, jak wśród lasu noc przepędzić. Jam udawał, żem się gniewał na chłopa za to, że mi czas zmitrężył, chłop zaś wymawiał się, uniewinniał. W rzeczy zaś samej szło mi o to jedynie, abym przez tę noc mógł jak najdalej odbić się od zakładu, skąd pogoń mogła wyjść za mną. Noc tę więc, leżąc na saniach, w chorobliwych przepędziłem drganiach, w stanie duszy trudnym do opisania, bo dopiero najwięcej o cztery mile byłem od zakładu oddalony; łatwo tedy mogłem

być dościgniony, a wówczas pozostawało mi tylko nóż we własnem utopić sercu. Nareszcie zaczęło świtać.

— Jedź do Tary nazad — rzekłem do chłopa — innego najmę, gdyś taki dureń; nic ci nie zapłacę, i jeszcze cię do policyi oddam, żeś mi tyle czasu napróżno zmitrężył.

Byłem gotów wrócić do Tary i innego chłopa nająć. Ujechawszy z wiorstę drogi, chłop mój się zatrzymał, obejrzał na wszystkie strony.

— Oto jest droga (a raczej ślad nieznaczny), którąśmy powinni byli jechać.

— Czy jesteś pewny, że to ta droga?

— A teraz jestem pewny.

Ale ja, przyznam się, zacząłem chłopu niedowierzać i przypomniałem sobie zdradę, jakiej uległ nieszczęśliwy pułkownik Piotr Wysocki. Na zapewnienie chłopa chwilę się zastanowiłem, pomyślałem i rzekłem, jakby głosem fatalizmu: „Jedź, kiedy jesteś pewny, tylko pośpieszaj“. Jechaliśmy prawdziwie po kuryersku, a jam się oglądał, czy kto za mną nie pędzi, i przysłuchiwałem, czy nie usłyszę za sobą dzwonka. Zawiózł mnie na stacyę do swego znajomego, u którego napiwszy się herbaty i zgodziwszy się po sześć kopiejek za wiorstę, ruszyłem dalej, ale prawdziwie po syberyjsku; siedmdziesiąt wiorst czyli dziesięć mil polskich bez odpoczynku ujechałem — i tak następnie od stacyi do stacyi, zmieniając konie, śpieszyłem wraz z drugimi na jarmark do Irbiti. Tego samego dnia późno w nocy przybyłem do wsi, nazwanej Sołdackaja;

nie miałem drobnych dla zapłacenia woźnicy. Zeszliśmy do karczmy napełnionej ludem, mnóstwo było pijanych, bo to ostatni dzień zapust; dobyłem z zanadrza pięćdziesiąt rubli dla zmiany, dziesięć dałem karczmarzowi do zmiany, 40 było pod moją ręką. Wtem nawał ludu, czy przypadkowy czy umyślny, ale nagły i gwałtowny odtrącił mnie od stołu, i w moich oczach jakaś ręka siągnęła po moje 40 rubli i znikła w tłumie. Szukałem i groziłem policyą, ale daremne były wszystkie poszukiwania i groźby; zresztą nie miałem ani czasu, ani chęci długo na miejscu pozostać. W Syberyi mnóstwo jest łotrów różnego rodzaju, jak łatwo można wnosić ze zbiegowiska różnego rodzaju przestępców, z Rosyi do niej corocznie wysyłanych. Przy szczupłych zasobach pieniężnych, z którymi potrzeba mi było dostać się do Francyi, strata czterdziestu rubli była dla mnie nieodżałowaną i niczem niewynagrodzoną. Ale mniejsza o czterdzieści rubli: wraz z nimi zabrano mi najlepszy mój, choć podrobiony paszport (miałem ich dwa) i kartkę będącą przy pieniądzach, na której z mapy wynotowałem drobnem pismem drogę, którą iść miałem, to jest miasta i miasteczka, jako ważniejsze punkta, podług których miałem się kierować. Takem się zasmucił tą stratą, tym nieprzewidzianym wypadkiem, że przesiadłszy się na nową furmankę pocztową, położyłem się w saniach dla wytchnienia z kłopotu i ze złej doli, co jest u mnie nałogiem.

Nazajutrz wyjechałem nakoniec na wielki szlak czyli gościniec, pokryty furmankami i śpieszącymi

się na jarmark. Tu już byłem bezpieczniejszy, bo gdyby nawet pogoń przybyła do tego szlaku, trudno, niepodobna nawet, zatrzymywać tysiące podróżujących i sprawdzać ich paszporta i rysopisy. Niedowierzając jednak, śpieszyłem, jak mogłem, dając na wódkę *jamszczykom* (woźnicom); tym sposobem przejechałem Iszym, nadedniem dnia trzeciego przejechałem Tiumień, a późno wieczorem tego samego dnia przybyłem do miasta Irbiti na jarmark. We trzy więc doby, czyli w 72 godzinach, ujechałem 1000 wiorst czyli 143 mil polskich, co wynosi na godzinę $13^2/_3$ wiorsty, czyli 2 mile polskie bez mała. Łatwo więc sobie wyobrazić szybkość, z jaką śpieszyłem.

Na wielkim trakcie w czasie tak licznego podróżujących przejazdu nikt i nigdzie o paszport mnie się nie pytał. Chłopi uganiają się na wyścigi o najęcie się, bo to jest żniwo ich zarobkowania; konie syberyjskie choć niewielkie, ale są szybkie do biegu i wytrzymałe, tak, że sam nimi jechałem po 50 lub 70 wiorst bez popasu i wytchnienia i to bardzo prędko. Sybiracy i wogóle Moskale bardzo zręcznie i śmiało jeżdżą saniami, które tak są zrobione, że się wywrócić nie mogą, bo od przodu ku tyłowi sanie się coraz rozszerzają i zniżają tak, że wierzchnie podłużniki u tyłu najwięcej o stopę są wyższe od płozów. Prawda, że siedzenie jest bardzo niewygodne w tych saniach, i musisz się dobrze trzymać, aby z nich nie wylecieć; ale wywrócić się z niemi niepodobna. Już zaraz za Tiumenią kraj staje się pagórkowaty, obszernemi

poprzecinany płaszczyznami, a już bliżej ku Irbiti staje się nadzwyczaj górzysty, a następnie wyboje na gościńcu w głębokim śniegu tak są głębokie, długie i szerokie, że koń z saniami się w nich ukrywa. Nieprzywykłemu trudno przejść piechotą tam, gdzie Sybiracy jeżdżą saniami. Niektóre miejsca na gościńcu, przez które przejeżdżać musieliśmy koniecznie, były tak przepaściste, że kiedym spojrzał w nie na dół, zdawało mi się, że ja, woźnica i konie karki połamiemy; gdzie tam: zwinne konie z dziwną zręcznością umieją sobie poradzić, a lekkie sanie, chyląc się tylko na jedną i na drugą stronę i przeważając się z tyłu naprzód i z przodu na tył, jak fala nie doznają zawady. Muszę się jednak przyznać, że choć najmniejszego szwanku z tej jazdy nie doznałem, strachu jednak nabawiłem się niemało. Pod Irbitią spotykałem już wracających z jarmarku jamszczyków z ładownemi saniami; trzeba widzieć, z jakiem niebezpieczeństwem, z jaką śmiałością, z jaką pracą i wytężeniem sił ludzi, a szczególniej koni, przebywają ci jamszczycy te górzyste i przepaściste przeprawy. Żal nieszczęśliwych bydląt, których niemało w tych przeprawach ginie.

Na rogatkach miasta Irbiti; późno wieczorem, żołnierz stojący tam zawołał; „Stój! paszport“! a po cichu do mnie: „Dawaj dwadzieścia kopiejek i jedź prędzej“ *(Dawaj dwadcat kapiejek i pojezżaj skorieje)*. Dałem mu dwadzieścia kopiejek i pojechałem bez pokazania paszportu, którego, mówiąc nawiasem, po skradzeniu mi pierwszego, lepszego, nigdziem w policyi przedstawić nie mógł bez narażenia się

na oczywiste niebezpieczeństwo. Woźnica zawiózł mnie do jakiegoś domu gościnnego, napełnionego ciżbą ludzi prostego stanu, jako to: jamszczykami i chłopami; w czasie jarmarku, wszystkie domy Irbiti są oberżami. Gospodarz nie chciał mnie przyjąć, wymawiając się wielkim natłokiem; ale ja mu powiedziałem, że tylko chcę przenocować, gdyż jutro pójdę do oberży, gdzie mieszka mój kupiec, którego dla spóźnionej pory nie mógłbym odszukać. Wyszedłszy zaś wnet, niby do policyi dla zameldowania paszportu, wróciłem po chwili, mówiąc, że mój paszport zatrzymano w policyi do jutra. Nastąpiła wieczerza, ale prawdziwie syberyjska: barszcz z suszoną rybą, kasza z olejem i kapusta kwaśna nie siekana, ale w główkach na cztery części pokrajanych i surowa; jadł, gdzie kto mógł: na stole, na ławie, na ziemi. Ja siadłem z kilku jamszczykami około stołu do wieczerzy; przed jedzeniem, zwyczajem rosyjskim, przeżegnałem się trzy razy sposobem ruskim, jako prawowierny grecko-rosyjskiej religii wyznawca. Przy wieczerzy wszczęła się pogadanka o jarmarku i kto za czem przyjechał? Rozumie się, żem przyjechał dla ważnych także interesów z moim kupcem. Kłamałem, jak mogłem, i dosyć mi to szło gładko. Jeżeli wieczerza, do której wcale nie miałem apetytu i którą jadłem z przymusu i dla oka, nie była wyśmienita, to zapach dziegciu i jamszczyków, gęsto w izbie natłoczonych, nie mógł dodawać smaku. Rozebrałem się i ja, rzuciłem oba kożuchy i armiak; zostałem tylko w koszuli kolorowej po wierzchu dwóch drugich

koszul, na wierzch spodni wypuszczonej, a podwiązanej w pasie wązkim wełnianym paskiem, a raczej taśmą zwyczajem syberyjskim; w tem odzieniu byłem „*nastajaszczy*“ Sybirak. Mimo tego przebrania jednak nie byłem bez słusznej obawy i strachu. Na tym jarmarku było wielu z okolic Tary, skąd uciekłem; wielu z nich znało mnie osobiście, a więcej nierównie znało mnie z widzenia; mógł jaki znajomy i tu się trafić i poznać. Szczęściem nikogo ze znajomych nie widziałem, a gdyby nawet i znalazł się który, coby mnie znał, mógłbym go zbić z tropu moją kozią peruką, którą nasunąwszy na przód głowy i zwiesiwszy na czoło długie jej włosy, zmieniłem znacznie swą fizyonomię; aby się zaś peruka nie zsuwała, ciągle ją miałem podwiązaną zapomocą chustki, uskarżając się, że mnie zęby bolały. Po wieczerzy, zapłaciwszy, co się gospodarzowi należało za nią, zabrali się wszyscy do spania, gdzie i jak kto mógł: na ławie, na piecu, na ziemi na słomie i na gołej ziemi, inni pod ławą— ot, zwyczajnie po rusku. I jam się położył, ale nie dla spania; raz dlatego, aby mi w nocy moja peruka z głowy nie zlazła i aby mnie w tym stanie nie dostrzeżono, a powtóre—było o czem myśleć!

Dzięki Bogu, myślałem, udało mi się tysiąc wiorst z okładem we trzy doby i bez żadnej przeszkody; gdyby i była pogoń, gdyby i wpadła z początku na mój trop, jużby mnie nie doścignęła, bo uciekający ma jedną tylko drogę, a ścigający dziesięć. Ale komuż z urzędników i czynowników mogłoby przyjść na myśl, aby ktoś, z Syberyi uciekając,

mógł uciekać na Archangielsk, wyżej nierównie od Tobolska, choć już w Europie, na północ posunięty! Zresztą jakiby powód i cel uciekającego do tego zmuszał? Gdyby zatem i była pogoń, co niechybnie nastąpić musiało, wszystkie poszukiwania tych pogoni i pościgi odbywały się po gościńcu przez środek Syberyi, a najwięcej ku jej południowi. Niech gonią wiatr w polu, pomyślałem sobie. Wszystko to dobrze, ale co dalej robić? Co dalej począć? Mój rysopis wysłano do Petersburga, a stąd po całej Rosyi po wszystkich guberniach, następnie rozesłano go do wszystkich powiatów i gmin; po wszystkich więc traktach mogą być silne straże. Przy tem po ukradzeniu mi, a raczej po wyrwaniu mi z rąk 40 rubli i po zapłaceniu podróży do Irbiti, której koszt wynosił do 75 rubli, zostało mi wszystkiego tylko 75 rubli, a odległość tak wielka i przeszkody nieprzewidziane: jechać niepodobna, potrzeba było koniecznie iść dalej piechotą. Gdybym miał paszport, jak się należy, drukowany, wszystkiemu temu dałoby się jeszcze zaradzić; ale mi go skradziono wraz z pieniędzmi i karteczką, na której były wypisane znaczniejsze punkta drogi, którą iść miałem; tego zatem wszystkiego mi brakło i biłem się z myślami, co dalej przedsięwziąć i pod jakim iść pozorem? Prawda, że główniejsze miasta pozostały mi w pamięci; ale mogłem zwrócić na się uwagę tych, którychbym o nie pytał, z przyczyny wielkiej ich odległości od siebie. Mimo jednak te trudności i rzeczywiście niebezpieczne położenie byłem prawdziwie szczę-

śliwy... szczęśliwy, żem stanowczy krok uczynił do wolności, żem pokonał siebie, odważając się na to niebezpieczne przedsięwzięcie, szczęśliwy nadzieją, że Bóg pobłogosławi śmiałemu, bo kosztem życia, może nawet kosztem męczarni powziętemu zamiarowi. Poleciwszy tedy zawsze i wszędzie czuwającej nad człowiekiem Opatrzności dalsze me losy i postanowiwszy korzystać z przygodnych okoliczności, usnąłem mimowolnie na chwilę spokojnie. Jeszcze przededniem powstawali wszyscy; wstałem i ja i zwyczajem, w kraju przyjętym, przeżegnałem się sposobem grecko-rosyjskim trzy razy przed obrazami, zwykle u węgła domu umieszczonymi, i kilka przed nimi uderzyłem pokłonów, a ubrawszy się i wziąwszy swój worek na plecy, wyszedłem niby za interesami do mojego kupca.

Miasto Irbit' leży na wschodniej pochyłości gór Uralskich na wzgórzu, z którego szeroki na prawo, to jest na wschód, otwiera się widok, a zatem leży jeszcze w Syberyi, chociaż należy pod względem administracyjnym do gubernii permskiej. Jest dość obszerne, a domy, pobudowane z drzewa, dosyć schludne, choć nieokazałe, place i rynek przestrony, ulice szerokie; w tem mieście bardzo wiele jest także doróżek i sanek, stojących po ważniejszych punktach miasta dla śpieszniejszego przejazdu z miejsca na miejsce. Sklepów drewnianych na składy towarów mnóstwo. Wyszedłszy na miasto, zostałem je przepełnione ludem i saniami. Konie były po stajniach, a sanie stały na rynku partyami, ustawione w szeregi, wyrównane jak żołnierze;

ażeby zaś wiele miejsca nie zajmowały, sanie próżne były założone jedne na drugie po kilkoro; takich sani było najmniej kilkanaście tysięcy. Ruch w mieście był niezwykły i miejscowości tylko właściwy. Z jednych sani wyładowywano towary przywiezione, na inne ładowano towary do wywiezienia; jedne, ładowne, przejeżdżały do miasta, inne, już naładowane, z miasta wyjeżdżały. Przybyłem do Irbiti na początku lutego, a o sto blizko wiorst, nie dojeżdżając jeszcze do niego, spotykałem już mnóstwo sani ładownych z jarmarku wracających; tych zaś, co na jarmark jechały, nierównie było więcej; taka zamiana towarów i taki ruch trwa cały miesiąc luty. Ileż to tysięcy sani ładownych w przeciągu tego czasu może przybyć i odjechać z Irbiti i na ile tam milionów rubli towarów się sprzedaje? Dla mnie był to widok zupełnie nowy i zajmujący.

Z Irbiti do Rosyi prowadzą dwa gościńce: jeden na lewo przez Jekaterynburg, góry Uralskie, Kungur i t. d. do południowej i środkowej Rosyi, a drugi na prawo przez Wierchoturje, góry Uralskie, Solikamsk i t. d. do północnej Rosyi. Pochodziwszy czas jakiś po mieście i kupiwszy kilka bułek chleba i soli na drogę, włożyłem je do worka, zwróciłem się na prawo i wyszedłem z miasta rogatkami drogi, wiodącej do Wierchoturja. Żołnierze przy rogatkach stojący, widząc Sybiraka, porządnie ubranego, a śmiało kroczącego, jakby za jakim pilnym interesem, ani słowa nie mówiąc, przepuścili. Wyszedłszy za rogatki i zarzuciwszy

worek na plecy i przedni jego koniec zatknąwszy za pas dla oswobodzenia rąk i śpieszniejszego pochodu, puściłem się pieszo. „Boże, błogosław mi“ — rzekłem w duchu i ze łzami w oczach — „i dodaj mi odwagi“! Zima w tym roku była nadzwyczaj mroźna, a śniegu ilość tak wielka, jakiej sami Sybiracy nie widywali często; dość powiedzieć, że w permskiej gubernii, przez którą wówczas przechodziłem, domy i dachy, choć drewniane ale mocno zbudowane, pod ciężarem śniegu nierzadko się zapadały. Tego ranku, ledwiem minął rogatki, powietrze się zmieniło, ociepliło nieco i śnieg obfity i gęsty zaczął padać. Było cicho i spokojnie, ale świata bożego nie było widać przed mgłą śniegu; droga była kopna i ciężko po niej było stąpać; jednak ślady jej były wyraźne, bo spotykałem naprzeciw siebie jadących jamszczyków, śpieszących na jarmark, i tych zwykle pytałem o drogę. Nie będąc miejscowi, nie pytali się o paszport; zresztą co im do tego? Oni co podróżują po całej Rosyi, z jednego jej końca w drugi, wnoszą, że i drugi ma potrzebę podróżowania. Droga szła w śród pola; daleko na prawo odkrywały się obszerne doliny Syberyi, poprzeplatane wzgórzami i niewielkimi lasami, gdyż po większej części były to pola orne i łąki; na lewo, w niewielkiej ode drogi odległości, wznosił się grzbiet gór Uralskich, pokryty gęstymi i nieprzejrzanymi lasami. Jeżelim przymuszony był przechodzić przez wieś jaką, której ominąć było mi niepodobna, nikogom się ani o drogę, ani o cokolwiek nie pytał,

tylkom szedł śmiało, udając, jakbym był z tych okolic i dobrze świadomy miejscowości i drogi, dokąd idę. Stąd nie zatrzymywałem się nigdy we wsi ani dla spoczynku, ani dla posiłku. Jeżeli mi się jeść zachciało, dobyłem z worka kawał zmarzniętego chleba i albo idąc, albo usiadłszy gdzie na ustroniu, w lesie, pod drzewem i na śniegu, jadłem, a przy pierwszej lepszej przerębli na rzece, lub strumieniu, gdzie konie poją, napiłem się, gdy mi się pić zachciało; albo jeżeli tej dogodności nie było, brałem śnieg do ust, który w nich tając, dostarczał mi wody i gasił pragnienie. Przeszedłszy wieś jaką, gdym był niepewny drogi, do ostatniego na samym końcu wioski położonego zachodziłem domku dla rozpytania się o nią, udając, że byłem z okolicy, z tej a tej wioski, i idę do najbliższego miasta za jakimś interesem, że chociaż obznajmiony z miejscowością, z przyczyny śniegów i zamieci obawiam się, czym nie zbłądził; dowiedziawszy się, o czem mi potrzeba było wiedzieć i nie wdając się wcale w dalszą rozmowę, wychodziłem, przeżegnawszy się pierwej trzy razy podług miejscowego zwyczaju. Tak przeszedł pierwszy dzień mojej pieszej podróży. Ciężko mi było iść w ciężkim ubiorze; przymuszony byłem zdjąć wierzchni kożuch i zarzucić go na plecy. Zmęczony byłem do upadłego, bom szedł rączo, śpiesznie, a droga była kopna, bo śnieg głęboki ją przysypał. Za zbliżeniem się nocy udałem się na bok do lasu i tam poprostu, sposobem Ostyaków, wydrążywszy dół pod śniegiem, zabrałem się do spoczynku, którego, mówiąc

prawdę, mocno potrzebowałem. Od chwili ucieczki z zakładu aż do dnia niniejszego prawie żadnej nocy nie spałem, bo natłok myśli i uczuć snu mi nie dozwoliły, a mara niebezpieczeństwa goniła mnie ciągle. Napróżno człowiek ma odwagę i gotów jest umrzeć; mimo mocne postanowienie nie może być obojętny na własne niebezpieczeństwo, na własną zgubę; ma obawę śmierci.

Dziwne wrażenie zrobił na mnie ten pierwszy nocleg. Leżąc w tym dole, a raczej w norze lodowej, śnieżnej, rozmyślałem nad swojem położeniem, nad tą samotnością wśród świata i ludzi, w których zdawało mi się widzieć tylko nieprzyjaciół; bo przed kimże się ukrywałem, jeżeli nie przed ludźmi? Cobym był dał za to, gdybym się mógł obejść bez ich spotkania aż do Francyi; ale jakże żyć bez nich, jak bez ich pomocy, choć nieumyślnej i prawie mimowolnej, dostać tak daleko? Kiedy tak rozważałem, smutno się zrobiło mej duszy, memu sercu; byłem prawie w Ogrójcu cierpienia. Z tem wszystkiem szczęśliwy, że mi pod śniegiem nikt z ludzi zaszkodzić nie może, i zmęczony podróżą i myślami, usnąłem z całem przekonaniem i zadowoleniem bezpiecznego wypoczynku. Chociaż pod śniegiem jest nierównie cieplej niż na powierzchni jego w tej porze roku, z tem wszystkiem nieoswojonemu jeszcze z noclegiem tego rodzaju, zimno, szczególniej w nogach, mocno mi się czuć dało, a śnieg od ciepła ciała i oddechu zwilżony, zwilżył nieco i wierzchni kożuch, co było wielką niedogodnością. Korzystając z tej nauki, postanowiłem

odtąd zwierzchni kożuch sierścią na wierzch obracać i dobrze mi było. Mróz w nocy był silny. Po obudzeniu się czułem się niezdrów i jakby osłabiony i jeszcze do dnia ruszyłem w drogę. Idąc, rozgrzałem się nieco i stałem się zdrowszy i weselszy nadzieją, bo co krok naprzód, byłem bliższy celu, do którego zdążałem. Ale około południa powstał nagle silny wiatr północny, jak raz w oczy mi bijący, suchy, mroźny, miotający kupy śniegu i wnet zasypujący drogę nawet dobrze utartą tak, że wkrótce ani śladu jej nie było. Mieszkańcy tych okolic, zapewno z rozporządzenia rządowego, zaraz z początkiem zimy po obu stronach główniejszych gościńców, przechodzących przez odkryte pola, zatykają dla ich oznaczenia wicie, a raczej wysokie gałązki drzewa, po większej części jodłowego, blizko jedne drugich. Śniegi jednak tej zimy były tak wielkie, że w wielu miejscach gałązek widać nie było. Z tej przyczyny i z przyczyny zamieci zbiłem się z drogi i zacząłem błądzić; zapadałem w śnieg po pas, a czasami i z głową; byłem w strachu, abym na zawsze nie zbłądził i nie zginął od zimna i braku pokarmu, chociaż jeszcze miałem chleba na dni kilka. Nareszcie ku wieczorowi wpadłem na jakąś drogę, sam nie wiem, jakim sposobem, szczęściem na prawdziwą. Mój bardzo krótki wzrok był mi wielką przeszkodą w tej podróży i przyczyniał się niepomału do błądzenia i narażania się na niebezpieczeństwo. Tego dnia zmęczyłem się nadzwyczajnie i czułem się nieco przeziębły, potrzebowałem ogrzania się i przesu-

szenia. Późno już w wieczór przybliżyłem się do jakiejś wioski. W niewielkiej odległości od niej i blizko drogi, którą szedłem, spostrzegłem skromny i odosobniony domek i kobietę młodą, przed nim stojącą; przybliżywszy się, prosiłem ją, o nocleg; młoda kobieta z chęcią zezwoliła. W domku zastałem staruszkę, jej matkę; pozdrowiwszy ją zwyczajem miejscowym, usiadłem na ławie. Kobiety zaczęły mnie pytać, skąd byłem i dokąd mnie Bóg prowadzi? Odpowiedziałem, że byłem z tobolskiej gubernii i idę na zarobek do Bohotolskich zakładów rządowych.

(Rufin Piotrowski — „Ucieczka z Syberyi“. — Kraków, 1902.)

W KATORDZE.

W Kutamarze zastaliśmy już z górą 150 katorżników, po większej części z Litwy i Ukrainy.

Po zwykłych ceremoniach odbioru, wpuszczono nas wreszcie do więzienia („tiurmy“), gdzie zaraz ulokowaliśmy się, po kilku w kamerach na tak zwanych narach. Po przybyciu naszej partyi zrobiło się bardzo ciasno, gdyż na narach nie wypadało więcej miejsca na jedną osobę jak 65 cm. szerokości.

Gdyśmy się przed smotritelem, kapitanem kozackim Völknerem (którego ojca moskiewskiego jenerała w Warszawie zasztyletowano) uskarżali na ciasnotę, tenże odpowiedział, że nic na to nie poradzi, a nadto dodał, że według „zakonu“ mamy nawet za dużo miejsca, gdyż właściwie na jednego katorżnika należy się tylko jeden arszyn kubiczny powietrza a my mamy z górą po trzy arszyny.

Naturalnie już więcej nic nie mówiliśmy, tylko ulokowaliśmy się, jak można było najwygodniej.

Od dnia przybycia na miejsce, t. j. od dnia 10 stycznia 1865 r., miał się nam rozpocząć termin kary.

Ponieważ więzienie kutamarskie było już od kilku tygodni zapełnione, więc zastaliśmy wygnańców już zorganizowanych, to znaczy: starosta, gospodarz, kontroler, kucharze, piekarze, już byli wybrani i już pełnili swe obowiązki. Starostą natenczas był Jakubowski, lekarz z Wilna, nazwisk innych nie pamiętam.

Nawet statuty były ułożone i spisane i każdy musiał się na nie zgodzić.

Po kilku dniach pobytu naszego w Kutamarze, pewnego dnia wjechały na nasze podwórze trzy wozy naładowane kajdanami, które sołdaci zaraz poznosili do sieni i złożyli na kupę, zaraz też przyszło dwóch kowali z odpowiedniemi narzędziami. Nasz „smotritiel“ przedstawił nam, że według „zakonu“ każdy katorżnik trzecią część kary musi odbyć w „kandałach„ i ażebyśmy każdy pojedyńczo przychodzili do kowadła i nastawiali nogi, a samą potrzebną operacyę kowale sami uskutecznią. Naturalnie zrobiło to na nas przykre i przygnębiające wrażenie, lecz gdyśmy odważniejszych już po operacyi zobaczyli w kandałach, szliśmy z odważną otuchą do kowadła, nadstawiając nogi. Do wieczora, wszyscy, co do jednego mieliśmy kajdany na nogach. Przez dni kilka rzeczywiście byliśmy bardzo przygnębieni, zwłaszcza ci, którzy

byli zasądzeni na dłuższe lata, jak dwadzieścia lat, lub na dożywocie; jednak już po kilku dniach tak oswoiliśmy się z kajdanami, jak gdybyśmy się w nich porodzili.

Były trzy gatunki kajdan i tak: a) między obrączkami na nogi był łańcuch i te były najwygodniejsze, b) między obrączkami na nogi było cztery sztabki z okrągłego żelaza 13 mm. grubego lecz połączone na każdem spojeniu ogniwami i c) między obrączkami na nogi było cztery sztabki również z okrągłego 13 mm. grubego żelaza ale na spojeniach nie miały ogniw i te były najniewygodniejsze, a nieprzyzwyczajonemu trudno było w nich chodzić. Brzęk kajdan z początku był dość głuchy, lecz gdy się przez chodzenie wypolerowały, bardzo drażnił, lecz w krótce jednak przyzwyczailiśmy się i do tego, ale musieliśmy bardzo głośno mówić, aby się wzajemnie słyszeć.

Tiurma ta była ponurą, a że w każdej kamerze mieściło się około dwudziestu katorżników, więc było bardzo ciasno, na narach leżał jeden przy drugim, tak, że nieraz trudno się było obrócić.

Wiktuały wydawano nam w naturze, a sami musieliśmy je sobie gotować i piec. Wydawano na osobę $^3/_4$ funta mięsa, do tego $^1/_4$ funta kapusty, lub $^1/_4$ funta krup hreczanych albo jęczmiennych, kilka zołotników soli, na chleb zaś 3 funty razowej mąki na każdego. Z gotowaniem było jeszcze pół biedy, gdyż kucharze choć z widzenia wiedzieli, że do kapuśniaku („szczej“) lub krupniku potrzeba dodać wody i soli i gotowano tak długo, dopóki

nie było miękkie, a jakie tam było, zawsze można było zjeść. Inna rzecz z chlebem; ten piekli piekarze, którzy chyba kiedyś w domu mimochodem widzieli jak się około chleba robi. Chleba upieczonego przez takich piekarzy („chlebopioków“) nie mogliśmy z początku jeść, chyba kto był zasobniejszy, to smażył sobie z niego grzanki na maśle lub baranim łoju, dobrze posoliwszy i te już wybornie smakowały. Ale po kilku miesiącach tak się nasi „chlebopioki“ wyćwiczyli w swej sztuce, że mieliśmy chleb już bardzo dobry i smaczny.

Jak wyżej wspomniałem, gdyśmy przybyli do Kutamary, zastaliśmy już ułożone statuty i regulaminy, które jednak moim przyjaciołom wydawały się za despotyczne i na które oni nie chcieli się zgodzić, naturalnie i ja ich nie odstąpiłem więc patrzono na nas z ukosa, wskutek tego zaczęliśmy się zaraz starać o przeniesienie do innej kopalni, co się nam szczęśliwie powiodło, gdyż już 10 marca przyszło rozporządzenie z głównego zarządu, ażeby nas odstawić do Aleksandrowska.

Dnia 12 marca, pod konwojem sześciu sołdatów wyruszyliśmy z Kutamary, a dnia 14 marca przybyliśmy już na stałe do Aleksandrowska, gdzie nas umieszczono w tiurmie № 1.

Z Kutamary zapamiętałem tylko: Jakubowskiego, Teleżyńskiego, Rabczewskiego, Petrykowskiego, Dobrzańskiego.

Jadąc z Kutamary do Aleksandrowska przejeżdżaliśmy przez okolicę kozacką, w której jeszcze nikt nigdy nie widział Polaka. Moskale, a szcze-

gólnie popi rozgłaszali, że my jesteśmy narodem dzikim, rozbójniczym, jednookim, ludożerczym, a szczególnie smakują nam małe moskalęta, za któremi przepadamy. Gdyśmy zatem przybyli do wsi i tam się dowiedziano, że wiozą Polaków, natenczas cała wieś, co do jednego schodziła się nas oglądać i to z wielkiemi ostrożnościami, zawsze dzieci trzymając poza sobą; podchodzili coraz bliżej, a najodważniejsi zaczęli się nas nawet dotykać i w koło obracać, ażeby się lepiej nam przypatrzyć, a gdyśmy się z zwierzchnego ubrania rozebrali, nie mogli się nadziwić, że my przecież zupełnie tacy sami ludzie jak i oni. Przyjmowano nas dość gościnnie, lecz zawsze z ostrożnościami, szczególnie uważano, ażeby się do nas dzieci zanadto nie zbliżały.

Umieszczono nas w tiurmie № 1, ale były jeszcze dwie inne tiurmy a to: urząd policyjny przerobiony na tiurmę, w której się mieściło około trzydziestu katorżników i koszary przerobione również na tiurmę na siedmdziesięciu katorżników; tiurma ta („koszary“) znajdowała się po drugiej stronie wsi.

Tiurma № 1, także była przerobiona z pomieszkania „uprawlajuszczoho“ (zarządcy) kopalni i była najznośniejsza, gdyż tak zewnątrz jak i wewnątrz nie wyglądała na moskiewskie więzienie i mieściła około stu dwudziestu katorżników. Rozkład kamer był taki, że nie można było nawet części odosobnić, tak że w chwilach dla nas krytycznych (co się dość często zdarzało) zamykano tylko główne drzwi wchodowe do sieni.

Frontowe jej okna wychodziły na duży, równy i ładny plac, ciągnący się ku południowi aż do rzeczki, za którą wznosiły się pagórki, zawierające w sobie rudę srebrną i tam też chodziliśmy do roboty.

Po zachodniej stronie placu, nieopodal naszej tiurmy № 1 znajdował się budynek tak zwany „główny odwach", trochę dalej, także po zachodniej stronie placu, stała tiurma tak zwana „policya", a dalej jeszcze po tejże samej stronie nad samą rzeczułką, nasza łaźnia parowa.

Po wschodniej stronie placu, wznosiły się koszary naszego garnizonu, w których mieściły się dwie roty wojska regularnego, tak zwanych, „amurskich strzelców". Kozacy mieścili się gdzieś na wsi.

Niedaleko naszej tiurmy № 1 w stronie północnej stał duży budynek, głównej komendatury, okręgu nerczyńskiego, w którym mieszkał główny komendant wszystkich politycznych katorżników. W owym czasie był głównym komendantem staruszek jenerał żandarmeryi Szyłow.

Szczęśliwym zdarzeniem po przybyciu do Aleksandrowska dostaliśmy miejsce w kamerze najprzyjemniejszej, narożnej, południowo-zachodniej, z której dwa duże, mocno zakratowane okna wychodziły na południe na plac, jedno okno na zachód, z którego mieliśmy widok na główny odwach i główną komendaturę.

W tej kamerze, która mieściła dziesięciu katorżników mieszkałem od 14 marca 1865 r. do 9 kwietnia 1868 roku, zatem ja jeden byłem tym, który tę ka-

merę ze wszystkich towarzyszy najdłużej zamieszkiwał, gdyż towarzysze moi dość często zmieniali się przenoszeni w inne miejsce, bądź na własne żądanie, bądź poniewoli.

Gdyśmy do Alexandrowska dnia 14 marca 1865 roku przybyli, zastaliśmy także wszystkie tiurmy napełnione; we wszystkich kamerach zastaliśmy pourządzane nary, które miały nam służyć do spania i do wszystkiego, co nadzwyczaj było niewygodne, tak że nie można było utrzymać choćby jakiego takiego porządku.

Więc zaraz zaczęto nalegać na smotritiela i komendanta ażeby nam pozwolono własnym kosztem z tych nar zrobić sobie łóżka, co też nam wreszcie pozwolono.

Natychmiast z porozbijanych nar porobiliśmy łóżka i stoliki dość wygodne, bo znalazł się przypadkiem pomiędzy nami stolarz Stefański, z fabryki fortepianów z Warszawy. Ponieważ na wsi, w sklepie Leontiewa, można było dostać potrzebne narzędzia, więc pod kierownictwem i nauką Stefańskiego zabrało się do pracy z dziesięciu całkiem nowych stolarzy, tak raźno, że prawie do miesiąca mieliśmy każdy swoje łóżko i po pół stolika, gdyż na dwu służył jeden stolik; również i szuflada była wspólna. Te sprzęty ustawiliśmy tak, że w kącie pod ścianami stało łóżko, potem stolik, potem dwa łóżka razem, potem znowu stolik i tak aż do następnej ściany. Gdyśmy się w ten sposób urządzili, zrobiło się w naszej kamerze widniej, przestroniej i co najgłówniejsza, można było utrzymać

czystość; wprawdzie łóżka były wązkie, ale też innych nie potrzebowaliśmy. Pozostało nam więc wytępić tylko pluskwy, prusaki i szwaby, co się też nam wkrótce najzupełniej udało. Nasze kamery wyglądały teraz zupełnie na mieszkania ludzkie, nawet naszym komendantom bardzo się podobały.

Czystość zaprowadziliśmy wzorową, a dbało o nią w każdej kamerze po dwóch dyżurnych, którzy co tygodnia się zmieniali. Podłoga była myta pedantycznie każdej soboty i w wilię każdego święta. Na łóżku każdy miał siennik z płótna lub sukna, wypchany słomą, prześcieradło, kocyk podszyty prześcieradłem i poduszkę wypchaną sianem, owczą wełną lub wielbłądzią szerścią.

Nasze kamery wyglądały teraz nie na więzienie, lecz na jakiś porządny szpital.

W gospodarstwie naszem porobiliśmy również kolosalne postępy, chleb wypiekano trzy razy na dobę w bochenkach od dwóch do trzech funtów, bardzo wyśmienity. Obiady także były smaczne i tak obfite, że część tegoż zostawialiśmy sobie na kolacyę; śniadanie stanowiła herbata sybirska, tak zwana „kirpiczna“ (t. j. prasowana w cegły).

Jak już wyżej wspomniałem, na wikt dostawaliśmy produkty surowe, t. j. po trzy funty mąki na chleb; $^3/_4$ funta mięsa, krupy, kapustę i sól; lecz tylko mięso dostarczano nam co dnia lub co drugi dzień, a wszystkie inne prowianty otrzymywaliśmy raz na miesiąc. Ponieważ z trzech funtów mąki wypiekano cztery funty chleba na dzień, więc zbywało nam więcej jak połowa mąki, którą się sprze-

dawało i za to kupowało się jeszcze po $^1/_2$ funta mięsa na każdego, tak że właściwie na obiad miał każdy po $1^1/_4$ funta mięsa.

Kucharzom i piekarzom płacono po trzy ruble miesięcznie i ci byli stali, chyba że któremu się sprzykrzyło, lub którego przeniesiono; najlepsi kucharze i piekarze byli po największej części z Litwy, którzy, jak się zdawało, byli do tego specyalnie uzdolnieni. Gospodarz, zastępca gospodarza i kontroler, pełnili swe czynności bezpłatnie, tych wybierano i byli tak długo, dopóki im się nie sprzykrzyło; zajęcia mieli dużo, i tak: zakupowali potrzebne wiktuały, dysponowali obiad i wydawali chleb i prowadzili rachunki, przy końcu zaś każdego miesiąca musieli zestawić cały rachunek, ile każdy wybrał np. funtów chleba, a po odtrąceniu wydatków na kuchnię, resztę otrzymywał gotówką na rękę, z czego kupował herbatę, a nawet i tytoń.

Z początkiem wiosny oznajmiono nam, że jako katorżnicy mamy być używani do robót, jeżeli zaś który jest kaleką, lub czuje się tak słaby, że nie mógłby pracować, ma się zgłosić do lekarza, który za kilka dni ma przyjechać, do zbadania nas i orzeczenia.

W rzeczy samej w kilka dni przyjechał z głównego zarządu lekarz do badania, z czego wynikło, że między nami wszystkimi nie ma ani jednego, zdatnego do roboty, naturalnie odpowiedni raport odszedł do Irkucka.

Po kilku tygodniach przyjechał jakiś wyższy lekarz do powtórnego i dokładniejszego zbadania

wszystkich, lecz i tym razem odszedł raport, ale już do ministerstwa w Petersburgu, że wogóle nie ma żadnego między nami przydatnego do roboty. W parę miesięcy przyjechał jeszcze wyższy i mądrzejszy lekarz z Petersburga, ale i ten znalazłszy stan zgodny z poprzednimi raportami odjechał z powrotem.

Wreszcie po kilku tygodniach nadeszła z ministerstwa rezolucya, że codziennie musi nas wyjść sześćdziesięciu katorżników do roboty, t. j. mniej niż trzecia część wszystkich znajdujących się w Alexandrowsku. Wybór pozostawiono nam samym, gdyż my najlepiej możemy wiedzieć, który nie jest w stanie pracować.

Codziennie zatem wychodziło nas 60-ciu do roboty oprócz najuroczystszych dni w Rosyi, a mianowicie: na carskie urodziny, carskie imieniny, i carską koronacyę, większych świąt nad te trzy w Rosyi nie ma...

Wypadło nam zatem po odtrąceniu zarządu, dyżurnych, piekarzy, kucharzy i rzeczywiście słabych co drugi dzień chodzić do roboty; czas pracy był od świtu do zmierzchu, z przerwą na obiad od 11 do 1 godziny w południe.

Dnia 19 sierpnia 1865 r. wyjechał Józef Szwarcenberg Czerny, uwolniony z niewoli w skutek starań swoich braci, do kraju. W nim postradałem najlepszego przyjaciela i opiekuna, chciał mnie przekonać, a nawet skłonić, ażebym w jego miejsce pojechał, coby się było nawet udało, lecz ja rozumie się stanowczo odmówiłem.

W jesieni tegoż roku wyjechali do kraju wszyscy nasi Włosi: Cairoli, Borgio, Giupponi, Wenanzio i Androli a to na skutek starań ministra włoskiego Cairolego, który był zdaje się bratem wygnańca.

Rok 1865 niczem więcej się nie zaznaczył w naszem życiu więziennem, chyba tem, że w rozmaitych rękodziełach zaczęliśmy się wydoskonalać, na każdem stoliku prawie była jakaś pracownia i pomimo, że oprócz Stefańskiego fachowego stolarza i jednego złotnika z Warszawy, żaden z naszych katorżników nie miał pojęcia o ręcznej pracy.

Potworzyli się szewcy, krawcy, kuśnierze, czapkarze, szwacze bielizny, niciarze, którzy wyrabiali nici, stolarze, tokarze, ślusarze do wyrabiania narzędzi do rękodzieł potrzebnych, guzikarze; wyrabiano: papierosy, fajki, cygarniczki, pudełka z drzewa i papieru, koszyki i przeróżne lampiony z papieru, wyroby z kości, z rogów, najwięcej wyrobów z chleba, robiono rękawice, pończochy i tasiemki z wełny, świece, mydło i mydełka; wyroby masarskie i cukiernicze; kubki gliniane do herbaty wyrabiano instrumenta muzyczne, jak: basy, wiolonczele, skrzypce, bałabajki; robiono struny z kiszek baranich, wyroby rzeźbiarskie z drzewa i chleba, prawidła, kopyta i kołki do butów, wyprawiano skórki na futerka i czapki, walizy i torby skórzane, wogóle wszystko; kto co życzył sobie zrobić lub naprawić udawał się do nas, a nie odszedł, ażeby go nie zadowolniono.

I ja także chciałem czemś zarabiać, więc najsamprzód wziąłem się do krajania tytoniu do fajek

i na papierosy, kupowaliśmy tytoń w liściach, gdyż tytonie z fabryk rosyjskich kosztowały 150 procent drożej, niż w Rosyi, było zaś ich kilka gatunków i tak: sybirskie samosadka i machorka, mandżurskie najlepsze i te kupowaliśmy, a nawet były i amerykańskie. Potem robiłem tasiemki, lecz była to strasznie nudna robota i niewypłacała się, potem z Woźniakowskim robiliśmy świece i mydło, dalej klej stolarski, ale był mały odbyt, aż nareszcie wziąłem się do robienia fajek, cygarniczek, pudełek z drzewa i z papieru, guzików z drzewa i spinek z rogu i tem już cały czas zarabiałem.

Każda tiurma miała osobnego wybieralnego starostę, i ten reprezentował nas na zewnątrz i wobec władz, nikomu nie wolno było osobno znosić się z władzami tylko przez starostę, on też był za wszystkich wobec władz odpowiedzialny.

Staraliśmy się przeto wybierać ludzi z największym taktem i najzimniejszą krwią, ze zwyczajami moskiewskimi obznajomnionych, do czego najwięcej byli odpowiednimi Ukraińcy i Białorusini, nadto musieli posiadać zaufanie większości i być popularnymi. W numerze I-ym przypominam sobie tylko dwóch, a to Suryna i Czerwińskiego zdaje się obydwaj Białorusini, z koszar Lichtańskiego Ukraińca.

Katorżnicy trzech tiurm nie znosili się z sobą zupełnie, chyba przy robocie, a ponieważ była to zbieranina ze wszystkich ziem dawnej Polski więc prawie nie znaliśmy się.

Listy do kraju można było pisać tylko co trzy miesiące, i wręczano je w komendanturze niezapieczętowane, stąd szły wszystkie do Petersburga do III-go oddziału tajnej policyi dla cenzury, a stamtąd dopiero rozsyłano je adresatom.

Listy zaś które otrzymywaliśmy z kraju, musiały również wszystkie przechodzić przez cenzurę III-go oddziału, dlatego też żaden nie przyszedł do adresata wcześniej jak po roku. Z początku cenzorowie słowa lub całe zdania, które im się zdawały podejrzane lub im się nie podobały wycinali, a adresat otrzymał nieraz zamiast listu tylko jakąś koronkę wyciętą z papieru; później zaś całe ustępy zamazywano farbą drukarską.

Smotritielem naszym był kapitan kozacki, zdaje mi się Sobakin, prawa ręka komendanta Szyłowa. „Wistowym“ zaś był zawsze feldwebel kozacki, który, według ukazów, musiał od otwarcia do zamknięcia tiurmy, to znaczy przez cały dzień pomiędzy nami przebywać, tego zmieniano co dwa lata, dlatego każdy taki „wistowy“, znalazłszy się między ludźmi porządnymi, bardzo prędko przyzwyczajał się do nas i gdyby nie musiał, to wolałby razem z nami do śmierci pozostać; żegnał się zaś z nami z każdym z osobna z największem rozrzewnieniem a choć nam żadnej przykrości nigdy nie sprawił, najmocniej przepraszał.

Zaraz z początkiem roku 1866 odwiedził nas jenerał-gubernator wschodniej Syberyi Korsakow. W kilka tygodni później mieliśmy zdarzenie, które o mały włos nie zakończyło się tragicznie.

Komendant nasz jenerał Szyłow zabronił nam, z jakichś jemu tylko wiadomych powodów, wychodzić do kuchni, która stanowiła osobny budynek na podwórzu, tylko po jednemu; w tym też celu poustawiano posterunki sołdackie. Było to dla nas bardzo niedogodne, gdyż w kuchni cały dzień był ogień, któregośmy zawsze potrzebowali.

Towarzysz Romanowski, Żmudzin, żołnierz z oddziału księdza Maćkiewicza, chcąc nastawić samowar, udał się z nim do kuchni, ale ponieważ już ktoś przedtem tam poszedł, więc sołdat nie chciał go przepuścić, a gdy tenże koniecznie chciał przejść, sołdat zmierzył się do niego bagnetem. Ten zniecierpliwiony postawił samowar na ziemi i chwyciwszy za bagnet, wydarł sołdatowi karabin, a odrzuciwszy go kilka kroków na bok i uderzywszy jeszcze go dwa razy w twarz, już bez przeszkody poszedł do kuchni, a nastawiwszy samowar wrócił z nim do kamery. Tak w więzieniu, jakoteż na odwachu zrobił się tymczasem między sołdatami ogromny hałas, lecz tylko taktowi i zimnej krwi starosty Suryna można było zawdzięczyć, że zaraz w pierwszych chwilach nie przyszło do rozlewu krwi. Ale na tem się nie skończyło, gdyż Romanowskiemu groziła kara śmierci, a to jak nam Moskale tłumaczyli, za to, że uderzenie warty w twarz tyle akuratnie znaczy, co uderzenie w twarz samego cara, albowiem warta właśnie stoi w imieniu samego cara.

Zaraz też następnego dnia rozpoczęły się protokoły; my zaś, chcąc uratować Romanowskiego

radziliśmy mu, ażeby udawał zupełnie głuchego, w co nawet łatwo było uwierzyć, gdyż był dwa razy rannym; jedna kula przeszła mu na wylot przez brzuch; druga zaś oderwała mu podniebienie, więc gdy co mówił, nie można go było rozumieć, co go bardzo złościło. Miał się tłómaczyć tem, że sołdat nic nie mówiąc uderzył na niego bagnetem, a on myśląc, że ma przed sobą zupełnie pijanego musiał się bronić; naturalnie udało się wszystko z początku wyśmienicie, aż go sam Szyłow chciał wysłuchać i przekonać się osobiście, kazał więc Romanowskiego przyprowadzić do siebie.

W kancelaryi, oprócz Szyłowa, starego żandarma moskiewskiego, znajdowała się także i żona Szyłowa, bardzo młoda i ładna fräulina. Przesłuchanie z początku udało się dość szczęśliwie, w końcu jednak Szyłow odwrócił się do żony i dość cichym głosem rzekł: „pasmotri kakoj padlec“, na to Romanowski w największem oburzeniu odkrzyknął: „ty sam padlec“. Bóg wie na czem by się skończyła cała sprawa, lecz żonie Szyłowa tak się to zajście podobało, iż wstawiła się za Romanowskim do męża, a ten całą sprawę natychmiast umorzył. Potem jeszcze kilka razy kazali przyprowadzać do siebie Romanowskiego i kpili sobie z niego, jak to tylko Moskale potrafią.

W lecie przyjechał „kuryer“ jakiś „flügeladjutant“ carski z Petersburga i przywiózł manifest carski, w skutek czego kazano nam uformować się w szeregi na podwórzu, wystąpiła cała załoga w pełnej gali i utworzyła naokoło nas czworobok, a gdy

już wszystko było gotowe przyszedł flügeladjutant z naszym komendantem, kazano nam pozdejmować czapki, kuryer wyjął ze skórzanej torby, którą miał na piersiach manifest, a rozpieczętowawszy go, rozpoczął czytanie.

Z treści jego dowiedzieliśmy się, że niejaki Karakazow strzelił w Petersburgu do cara, a że licho strzelał, więc nie trafił, w skutek tego najmiłościwszy car darowuje nam karę noszenia kajdan i czwartą część lat katorgi. Przyjęliśmy to najobojętniej i najchłodniej, co dziwiło Moskali, gdyż myśleli, że za taką łaskę krzykniemy choć raz hurra! Gdy załoga wymaszerowała, rozeszliśmy się i my.

Następnego dnia kowal sprowadzony, porozkuwał nas z kajdan, a ci którzy „potierali“ (pogubili) kajdany musieli po 40 kopiejek zapłacić.

Po zdjęciu nam kajdan, jakoś dziwnie głucho zrobiło się po kamerach, czegoś nam zabrakło, z ogromnego brzęczenia zrobiło się nagle cicho i jakoś nieswojsko, a najwięcej raziło nas to, iż jeden do drugiego bardzo podniesionym głosem mówił; lecz z czasem zapomnieliśmy o kajdanach.

W jakiś czas później został jenerał Szyłow odwołany, a to zdaje się wskutek intryg głównego zarządu górniczego, a na miejsce jego został naszym komendantem pułkownik kozacki Petrow. Smotritielem został kapitan amurskich strzelców Polak Wołyński, bardzo taktowny i nam przychylny.

Nadmienić mi tu wypada, że komendanturze naszej podlegały tylko sprawy polityczne, zaś wszy-

stkie sprawy administracyjne należały do głównego zarządu górniczego, znajdującego się w „Bolszom Zawodie“. Ponieważ jenerał Szyłow był podobno dzielnym żandarmem, zaufanym cara i mógł nawet wprost do cara pisać, więc naturalnie wszyscy we wschodniej Syberyi a szczególnie zarząd górniczy obawiali się go i użyto wszelkich sposobów, ażeby się go pozbyć.

W tym to czasie przybył do Aleksandrowska słynny publicysta i autor dzieła „Czto diełat'“ Czernyszewski, którego ulokowano w tiurmie „policya“.

Naraz pewnego dnia, w lecie, zaprzestano nas pędzić do roboty, potrojono warty, a nawet zabroniono nam jeździć po wodę do poblizkiej rzeczułki, z której co dnia kilka razy dziesięciu przyciągało kufę wody, na nasz użytek, natomiast tę czynność polecono kozakom; nadto w przeciągu kilku dni ściągnięto jeszcze około 2000 kozaków.

Trudno się było dowiedzieć przyczyny tych ostrożności, gdyż Moskale milczeli jak zaklęci, po kilku dopiero tygodniach dowiedzieliśmy się, że nad Bajkałem w Posolsku wybuchło powstanie i że już zostało stłumione. Naturalnie kozacy odeszli, a u nas powróciło wszystko do dawnego trybu.

W tym roku nastąpiły przenosiny katorżników z jednej kopalni do drugiej, ja jednak na szczęście pozostałem na miejscu. Nic też nie zaszło godnego uwagi, chyba to, że nasi kucharze i piekarze doszli w swej sztuce do doskonałości, a nasze ręko-

dzielnicze wyroby w wykończeniu także bardzo postąpiły, niektóre zaś były nawet artystycznie wypracowane.

Wspomnieć tu także muszę o naszem ubraniu i tak: Nasi starostowie dowiedzieli się od głównego zarządu górniczego, co się nam właściwie należy według zakonu, i tak każdy miał dostać co roku: dwie pary bielizny, onuczki płócienne i sukienne, spodnie płócienne i sukienne, chałat sukienny, kilka par trzewików („czyrek“) i butów („brodni“) po kilka par rękawic skórzanych i wełnianych, czapkę („szlapa“), zaś jeden półszubek na trzy lata. Wystarali się zaś w zarządzie górniczym o to, że nie dawano nam gotowych ubrań i bielizny, tylko wyznaczoną ilość sukna, płótna i skór i przypadającą ilość pieniędzy za szycie powyżej podanych przedmiotów.

Ponieważ sukno było grube i mocne, takie, z jakiego sołdaci mają płaszcze, tylko trochę odmiennego koloru, płótno zaś było lniane, mocne, nawet dosyć cienkie i bielone, więc mieliśmy tego poddostatkiem, tak, że wystarczyło nam na wszystko, nawet na sienniki, kołdry, prześcieradła, poduszki, a niektórzy nawet i sprzedawali; skór także nam nie zbywało, więc robiono z nich torby i tłumoki podróżne, a nawet część sprzedawano.

Każdy z nas otrzymywał przypadającą nań część sukna, płótna, skóry i pieniądze i sam sporządzał sobie według swojego gustu ubrania. A jak już wyżej wspomniałem, krawców, szewców i bieliźniarzy wyrobiło się u nas dosyć, tak, że było ko-

mu i szyć. Bielizna była szyta z ukraińska, ze stojącemi obszewkami, ubrania zaś albo marynarkowe, albo świtki ukraińskie, lub nawet czamary, spodnie szerokie do butów, a buty z wysokiemi cholewami, czapki zaś po większej części miały kształt kepi francuskich.

Rok 1867 zastał nas już zupełnie ze swojem położeniem oswojonych, i dobrze zagospodarowanych, urządziliśmy sobie ze spiżarni sklep, wybraliśmy sklepikarza i kontrolera za wynagrodzeniem po trzy ruble miesięcznie, ci sprzedawali nasze wyroby, pozostawiając na ogólne dobro 10 procent z uzyskanej ceny.

Z kapitału uzyskanego z 10 procentowej prowizyi opędzano koszta administracyi, a każdy członek stowarzyszenia otrzymywał przy wyjeździe przypadającą na niego część kapitału gotówką na drogę.

Sklep nasz prosperował znakomicie, bo gdy się Moskale o nim dowiedzieli, to nawet z odległości dwustu wiorst przyjeżdżali zakupywać lub zamawiać różne drobnostki.

(Leonard Mężyński — „Wspomnienia z powstania styczniowego i sybirskiej katorgi 1863—69“. — Tarnopol, 1910.)

KAZAMATY W WIŁUJSKU.

Etap w Wiłujsku miał smutną sławę miejsca najcięższej w Syberyi kary. Istotnie, były to ściśle strzeżone kazamaty więzienne, rzucone na północy, wśród tajg jakuckich, o kilka tysięcy wiorst od świata i ludzi. Kto się tam dostał, gnił za życia w tym żywym grobie i ginął nieraz zapomniany przez wszystkich.

Sam widok więzienia rzucał na człowieka spleen straszny, napełniając duszę niewymownie ciężkiem uczuciem.

Na równinie, poza miastem, wśród czystego pola, rysowały się długie zabudowania, oparkanione wysokim nader ostrokołem. Zamykała go ciężka, żelazna, zardzewiała brama, przy której stała strażnica.

Wszystko to, zczerniałe przez lata, robiło wrażenie wielkiej żałobnej trumny wśród tła śnieżnego kobierca.

Patrzałem na ten ponury widok ze zgrozą i boleścią, myślałem, w jaki sposób uda mi się tutaj, gdzie nie znam nikogo, przeniknąć do wnętrza tej trumny. Wiedziałem od ks. Szwernickiego, iż tam niedopuszczają nikogo, ale wiedziałem również, iż w Rosyi, zwłaszcza na Syberyi, są dwa wielkie motory, które poruszają ludzi i otwierają wszystkie bramy.

Wpuści mnie kieliszek i rubel, pomyślałem. Jako plenipotent T-wa Leńskiego, mogłem się łatwiej zaznajomić z urzędnikami miejscowymi i przez nich trafić do władz więziennych.

Tak się też i stało. Już w parę dni piliśmy razem ze „smotrytielem“ i doktorem więzienia i graliśmy w karty. Pieniądze z mojej kieszeni przelały się szybko do kieszeni owych panów, podniecając ich wesołość, serdeczność i dobry humor.

Wkrótce „szeroka natura rosyjska“ poczęła się rozczulać i rozrzewniać.

Skorzystałem z tej chwili, pytając o więźniach-Polakach, o Ohryzce i Dworzaczku.

Nie znali tych nazwisk wcale.

— U nas wszystko pod numerami — mówili. — Czort by te wszystkie polskie imiona spamiętał.

— Ale są księgi więzienne, akta, dokumenta jakieś, — chcąc dojść do źródła.

— Są, to są! — odparli, — ale kto tam rozpatrywać je będzie. Jak tu kogo przywiozą, bratku, nu! to już trup! nie człowiek to już, ale numer.

Czułem, jak dreszcz oburzenia przebiegł mi po skórze. Wyraziłem jednak chęć zobaczenia się z № 40 i № 47.

— Pewnie to twoje „ziemlaki“ bratku, — rzekli na to, — z nimi niewolno widzieć się nikomu. Zdali ich nam, jako wielkich przestępców... No! ale my dla ciebie wszystko... ty nasz dobry kamrat. Czort pabiery!... My ciebie puścim... Idź, do jakiego sobie chcesz numeru!

I, to mówiąc dozorca, w którego już mieszkaniu siedzieliśmy, zdjął ze ściany pęk kluczy i poprowadził mię do wnętrza więzienia.

Był to długi, nizki i ciemny budynek, do wielkiej stodoły podobny, o małych, zakratowanych oknach, pełen stęchlizny i kwaśnych wyziewów, mocno przypominających odór kapusty. Snadź przez te zawsze szczelnie zamknięte okienka nie przypływały tu nigdy świeże prądy powietrza.

Szliśmy długim, wązkim korytarzem, po obu stronach którego widniały numerowane drzwiczki, prowadzące do cel więziennych.

Panowała tu cmentarna cisza.

Zdawało się, iż wszelkie wymarło tu już życie i że się wśród jakichś katakumb znajdujemy.

Tylko oddech szyldwacha i jego ciche, miarowe kroki mąciły nieco ten spokój więziennego grobu.

Stanęliśmy przed № 40.

Klucz zgrzytnął w zamku. Dozorca szepnął parę słów szyldwachowi, który się wnet dyskretnie usunął, oddalając szybko.

Z bijącem sercem, pełen głębokiego wzruszenia, uchyliłem drzwi celi Ohryzki.

Przed stolikiem siedział pisząc wysoki, przygarbiony nieco człowiek w podeszłym niemal wieku,

o wyrazistej, zmęczonej twarzy, gęsto pokrytej zarostem. Włosy miał szpakowate i długą siwiejącą brodę. Ubrany w kożuch, w wojłokach na nogach, siedział i pisał, nie zwracając wcale uwagi na moje wejście.

W celi było mroczno i zimno.

Na stole i podłodze, jak białe płatki śnieżne, walały się porwane strzępki papieru, rysując się jaskrawie na tle szarej ponurej izby.

Podszedłem do Ohryzki, witając go ze wzruszeniem, którego pohamować nie mogłem, i ze czcią, przynależną człowiekowi idei i męczennikowi sprawy narodowej.

Przedstawiłem mu się jako wygnaniec, wymieniając swoje nazwisko.

Ohryzko podniósł wreszcie głowę i spojrzał na mnie przygasłą źrenicą.

— A tak! tak! — rzekł krótko. — Ale cóż pana tu sprowadza?

Powiedziałem mu, jak wszyscy wygnańcy cenią jego dla kraju zasługi, jak żywo współczują jego doli, jak chcieliby mu w czemś dopomódz i jak ja, dowiedziawszy się przypadkiem o miejscu jego pobytu, przebiegłem parę tysięcy wiorst, by go uczcić i przynieść od rodaków słowa bratniej pociechy oraz świeże echa z kraju.

Ale on milczał, spoglądając na mnie z widoczną nieufnością, która mię bolała. Brał mię może za szpiega? Tyle już ten człowiek w życiu przecierpiał, iż obecnie mógł się lękać wszystkiego. W zmęczonem nieco jego spojrzeniu widać było pewne wytężenie pracującej myśli.

Zacząłem znów mówić o stanie obecnym kraju, o wygnańcach, o emigracyi. Zebrałem wszelkie możliwe dane, chcąc je samotnemu więźniowi, pozbawionemu wszelkich wiadomości, zakomunikować.

Słuchał z pewną uwagą, rzucając raz po raz niedowierzające spojrzenia.

Spytałem go w końcu o dzieje jego wygnania, o powody więzienia w Wiłujsku, gdy był do ciężkich robót ostatecznie skazany.

Ohryzko mruknął coś niewyraźnie.

— Czasy się nieco zmieniły—szepnąłem;—ludzie w Petersburgu dla wygnańców coś robią.

— Ot i tu—dodałem, dostrzegłszy jakieś żywsze w oczach jego blaski, — można panu coś ulżyć... Kolonia wygnańców polskich przesyła przezemnie pieniądze...

— Nic mi już nie trzeba! — przerwał Ohryzko, — księga żywota mego już zamknięta... Dajcie mi pokój!

A widząc oczy moje zwrócone na zapisane na stole karty — dodał smutno:

— Piszę pamiętniki życia mojego, ale nic z nich nikomu. — Drę je zaraz.

— Dlaczego? — spytałem zdziwiony.

— A komuż je zostawię w spuściźnie? — odparł pytająco również.

Chciałem odpowiedzieć, lecz zaledwiem otworzył usta, gdy mi znów przerwał.

— Nie wyjdę stąd — nigdy! — wyrzekł cichym, złamanym głosem.

Z głębokiem uczuciem litości patrzałem na tego człowieka. — Jakżem go inaczej sobie wyobrażał!... Przebyte katusze złamały tego silnego ducha.

Już żegnałem nieszczęśliwego, gdy oczy moje padły ze zgrozą na ogromy łańcuch, przybity do ściany celi, a zwieszający się ku ziemi.

Ohryzko spostrzegł wrażenie, jakie ten widok na mnie uczynił.

— To dla tych, co się burzą w więzieniu — rzekł — mnie nie przykuwano nigdy.

Nic więcej wydobyć z tego człowieka nie zdołałem.

Opuściłem celę z ciężkim wrażeniem, przypuszczając, nie bez zasady, iż umysł Ohryzki nie działa już normalnie. Zbyt silne przeżył wstrząśnienia moralne i fizyczne!...

Przypuszczenia moje co do stanu umysłu Ohryzki nabrały pewności, gdym się o wielu szczegółach życia jego w więzieniu od dozorców dowiedział. Był wciąż cichy i spokojny jak dziecko, nie mówił nigdy i nie żądał niczego oprócz papieru i pióra, czego mu podobno dostarczano w znacznej ilości. Cela była zimna i wilgotna, a jadło złe bardzo. Ohryzko mnie się nie skarżył i nic nigdy nie wymagał.

Trudno też było wymagać, nie mając grosza przy duszy. Odarto go ze wszystkiego. Pisał dni całe. Wieczorem zaś darł to wszystko, co napisał, a nazajutrz zaczynał na nowo, aby znów podrzeć wieczorem.

Tak mijały mu dnie i miesiące, wreszcie lata całe, aż nakoniec manifest jakiś wyprowadził go z więzienia w Wiłujsku i przerzucił na bruk w Irkucku, jako osiedleńca w 1877 r. Kolonia polska otoczyła nieszczęśliwego najtroskliwszą opieką. Miał podówczas lat pięćdziesiąt kilka, a wyglądał na zupełnego starca. Wracając przez Irkuck do kraju słyszałem, iż Ohryzko po wyjściu z więzienia już się nie otrząsł ze swej melancholii, a coraz silniej zapadał na umyśle. Trzeba się było niańczyć z nim, jak z dzieckiem.

W lat kilka potem jeszcze raz dobiegła mię o nim wiadomość. Żył jeszcze w Irkucku, ale był zupełnie już słaby na ciele i umyśle. Suwał się jak cień po ulicach, cichy i milczący, jak zawsze. Podobno na usłyszane czasem słowa: Polska! Polacy! odwracał głowę. Źrenice jego zapalały się na chwilę żywszym i przytomniejszym blaskiem, ale wnet gasły i mąciły się na nowo.

Zmarł na obczyźnie w ósmym dziesiątku zeszłego stulecia.

Po wyjściu z celi Ohryzki, ochłonąwszy nieco z bolesnego wrażenia, udałem się, korzystając z uprzejmości dozorcy, pod № 47.

Szyldwach natychmiast drzwi mi otworzył, znów się usuwając w głąb korytarza.

Znalazłem się w celi Dworzaczka.

Na mój widok zerwał się ze stołka, na którym siedział, wpatrzony w drobne okienko, młody, pełen jeszcze energii człowiek, mierząc mię ciekawem, badawczem okiem. Gdym się przedstawił i wyjaśnił

powód odwiedzin i chęć przyniesienia ulgi i pomocy, Dworzaczek uścisnął mi rękę gorąco, ukrywając łzę, co mu zawisła u powiek. I zaraz, usadowiwszy mię na łóżku, jął rozpytywać o wiadomości z kraju, zwłaszcza z Królestwa. Niestety, mogłem mu więcej powiedzieć o Litwie, skąd do nas ciągle dochodziły echa, niż o Warszawie, z której był rodem. Interesował się żywo dolą wygnańców na Syberyi, zwracając baczną uwagę na nazwiska Koroniarzy i Warszawiaków, z których znał wielu. Wypytywał się o ich losy i dzieje. Tu, do więzienia w Wiłujsku, żadna nie przenikała wiadomość, zwłaszcza do Polaków.

Siedzący tu nihiliści rosyjscy byli nieco szczęśliwsi pod tym względem. Ktoś ich czasem odwiedzał. Z Polaków, jak mówił Dworzaczek, byłem pierwszym, który zajrzał do celi gnijących tu rodaków.

Stanowiłem więc dla Dworzaczka niewyczerpane źródło wiadomości, do których dzielny ten widać człowiek był stęskniony bardzo. Z kolei począłem go wybadywać, za co pokutuje w tej trumnie, jak nazywałem więzienie Wiłujskie.

— Zaniosła mię tu burza krajowa, — rzekł wymijająco. — Brałem udział w ruchu i głową i ręką. Wykręciłem się, dzięki wielkim staraniom wpływowych osób, od śmierci fizycznej. Umieram tu za to moralnie...

Westchnął ciężko i zwiesił głowę na piersi.

Wnet jednak podniósł czoło, a w oczach jego zamigotały harde błyski.

— Nie dam się jednak! — zawołał. — Chcę żyć jeszcze i działać! Może się doczekam, że wieko tej trumny otworzy się dla nas... Może... ach!... wrócę do swoich...

Głos młodego człowieka załamał się w łkaniu. Samotność więzienia stargała już mu nerwy. Z bólem patrzyłem na tę walkę sił duchowych i cielesnych. Dworzaczek był blady i mizerny, osłabiony brakiem powietrza i złem odżywianiem się, ale duch jego borykał się jeszcze i nie poddawał się beznadziejnej rozpaczy.

Z wdzięcznością przyjął ofiarowaną sobie pomoc w pieniądzach, złożonych przez rodaków. W więzieniu to nervus-rerum odegrywało, jak wiedziałem z doświadczenia, ogromną rolę, dawało względy stróżów, więcej swobody i lepszą strawę. Obiecałem przysłać mu jeszcze kilka butelek wina.

Uściskaliśmy się serdecznie na pożegnanie. Gdym wychodził, Dworzaczek rzekł jeszcze:

— Siedzi tu obok jeden z luminarzy nihilistów rosyjskich, słynny Czernyszewski. Warto go odwiedzić.

Zrobiłem, jak życzył. Szyldwach posłusznie drzwi mi każde otwierał.

Zapukałem do celi Czernyszewskiego.

I tu znalazłem dzielną, pełną jeszcze nadziei jednostkę. Po uprzejmem powitaniu i wytłómaczeniu celu mych odwiedzin Czernyszewski, dowiedziawszy się, iż jestem również, jak i jego sąsiedzi, wygnańcem polskim, począł ze mną mówić szczerze i swobodnie.

— Sprawę waszą znam—opowiadał—ruch polski nie był mi obcy. I teraz tutaj przeżywamy kwestye te z Dworzaczkiem, z którym się komunikować umiemy. Nie wypuszczają nas z cel naszych nigdzie, nawet do łaźni. Więc gawędzimy jakoś. Zapełnia to czas i pokrzepia ducha. Człowiek w więzieniu stać się może filozofem. Myśl pracuje silniej i we wszystko wnika głębiej. Ważna rzecz jednak komunikacya ze swoimi. Zazdroszczę wam swobody ruchu... Gdybym ją miał!... Sprawa nasza toczyłaby się dalej. Porozumiewać się trzeba, a komunikacyi żadnej.

I dalej mówił mi o sprawie swej partyi, ówczesnym rewolucyjnym ruchu Rosyi.

Był mówny i ożywiony bardzo.

— Piszę tu trochę, rzekł wreszcie, choć mi nie dozwalają.

Przy pożegnaniu, dziękując mi za odwiedziny, dodał:

— Mam nadzieję wyrwać się stąd prędko. Może się jeszcze spotkamy gdzieś z sobą jako przyjaciele i współpracownicy.

(Apolinary Świętorzecki—„Ze wspomnień wygnańca z 1863 r.“ — Wilno, 1911.)

Pobyt we Władywastoku.

Gdyśmy stanęli o godzinie 3-ciej u przystani, dużo osób czekało na przyjście statku. W tłumie zauważyłem mojego dobrego znajomego Wasilewskiego, z którym dawniej nie jedną odbywaliśmy ekskursyę; zdziwiłem się jednak, widząc go tutaj. Witamy się serdecznie i pytam, czy dawno bawi w tem mieście. „A to długa historya“, odrzekł, „opowiem później, tu trzeba najpierw pomyśleć o tem, gdzie znaleźć pomieszczenie“. Przedstawiam mu Janka, rekomendując go, jako namiętnego myśliwego, a więc pod tym względem duchowo spokrewnionego z Wasilewskim, którego jedyną namiętnością w życiu było polowanie.

Pozostawiwszy Janka przy rzeczach, sam idę z Wasilewskim szukać jakiejkolwiek kwatery, nasamprzód wstępujemy do oficera Rigau, ma on pokój jeden, lecz powiada, że u Szestinskiego jest

całe mieszkanie obecnie wolne, bo żona jego i pasierbica nie wróciły dotąd i że spodziewane są dopiero ku jesieni. Znam kapitana Szestińskiego bardzo dobrze, odbywałem z nim podróż z Askoldu do Władywastoka, mieszkałem u niego, przyjeżdżając do tego miasta. Znam jego brata lekarza, bardzo uczciwego człowieka, lecz strasznego alkoholika, który nawet swego psa rozpoił i zdenaturował. Otóż teraz, gdy wspomniano o Szestińskim, zgodziłem się pójść do niego, znaleźliśmy go w domu i po przywitaniu sam zaproponował, ażeby się przenieść do jego mieszkania; jest obecnie policmajstrem we Władywastoku, ma swoje konie i policyę na usługi. To też zaraz posłał konie swoje i furę po rzeczy. Wasilewski podjął się sprowadzić Kalinowskiego i ma sam wrócić do nas, bo go Szestiński zaprosił na obiad chiński, nadesłany mu przez tłumacza przy policyi, Chińczyka, ex-re jego własnych imienin.

Gdy rzeczy przybyły, rozlokowaliśmy je aż w dwóch pokojach, ażeby mieć przystęp wolny do każdego pakunku z osobna, przebraliśmy się odświętnie i przystąpiliśmy do uczty chińskiej. Mieliśmy 18 potraw, czyli dań, ułożonych na półmiseczkach chińskich. Tłumacz obecny objaśniał nam kolejno rodzaj każdej z potraw. I tak mieliśmy: 1) zupę pilmieniową, 2) pierogi rosyjsko-chińskie, drobno krajane, 3) kurę pieczoną również drobno krajaną, jak i wszystkie inne mięsiwa i pieczywa, 4) świninę pieczoną z sosem, 5) rodzaj potrawki z ryb morskich, 6) Mięso krabów morskich, oble-

wane tłuszczem czy masłem, 7) mięso szrymsów z sosem słodkim, 8) pieczoną baraninę, 9) trepangi gotowane, 10) sałatę, 11) ogórki, 12) sałatę z rozmaitych jarzyn z czosnkiem 13), 14) drobne gałeczki z jakiegoś mięsa, 15) jakąś potrawę z mąki smażonej w maśle, 16) Ciastka w rodzaju biszkopcików, 17) coś w rodzaju pierników, 18) „nibykrem“. Po tych potrawach nastąpiły wety: a) rodzenki, b) konfitury, c) śliwki suszone, d) cukierki w kształcie cukru lodowatego, e) inne cukierki.

Wszystkiego było po trochu, tak że skosztowawszy każdej potrawy po kawałeczku, oddawaliśmy resztę służącemu, a sami zabraliśmy się do herbaty i dodatków do niej mięsnych i mlecznych. Po herbacie przychodzi Lejtenant z „Abreka“, parostatku, na którym odbywał swoją ostatnią podróż Admirał Erdmann. Lejtenant opowiada o podróży do Suczanu i do Nachodki i o kupnie ziemi przez Dr. Pfeiffer'a. Ten ostatni, uczeń Dorpackiego uniwersytetu, znany mi jeszcze z podróży ze Skołkowym, był wtedy lekarzem w Mikołajewsku; dzisiaj jest już najstarszym lekarzem marynarki rosyjskiej we Władywastoku, umyślił on teraz zakupić ziemie na wybrzeżu morza mandżurskiego, lecz chcąc, ażeby mu one natychmiast rentowały, wybierał sobie fermy, uprawiane przez Chińczyków, którzy mu odtąd płacić będą musieli czynsz dzierżawny. Po długich rozmowach idziemy na spacer z Wasilewskim, przyczem opowiada on o sobie. Nędza i samoobrona przed nią, zmusiła go do kroku, który ochroni przynajmniej od głodowej śmierci. Wracam

po 11 wieczorem. Zasiadam do notatnika i wypisuję krótką charakterystykę naszego uprzejmego gospodarza.

Poznałem Szestińskiego jako lejtenanta, był on kapitanem, czyli dowódcą na jednym ze statków wojennych floty mandżursko-rosyjskiej. My wtety we trzech: kapitan Frydolf Höck, Johanson Finlandczyk, i ja późną jesienią przybyliśmy na szkucie „Rozbojnik“ na Askold, do Michała Jankowskiego i mieliśmy zamiar płynąć następnie do Władywastoka, lecz silny niepomyślny wiatr stał odjazdowi naszemu na przeszkodzie. Wyglądając na morze, spostrzegliśmy parostatek, idący po części pod żaglami. Gdyby on tu do nas zawitał, mówimy, byłby nas może wyprowadził z tej zatoki na morze. Śledzimy dalej pilnie za statkiem i przychodzimy do przekonania, że kieruje się on ku nam, jakoż w samej rzeczy wchodzi do zatoki, zarzuca kotwicę, spuszczają „szlupkę“ i wysiada na brzeg lejtenant Szestiński. Höck znał go dobrze, Jankowski również, więc przyjmują gościnnie przybyłych. W rozmowie powiadam, że nas tu więzi wiatr przeciwny, że mamy dużo interesów do załatwienia we Władywastoku, a lada chwila oczekiwać trzeba, że zatoka „Złoty róg“ we Władywastoku zamarznie, więc czy nie moglibyśmy go prosić, ażeby wyholował naszą szkundę na morze. Szestiński zgadza się na to i zaprasza mnie na statek, zaś jutro rano, gdy podniesie kotwicę, weźmie naszą małą szkunkę na linę. Podziękowaliśmy za tę uprzejmość i zaraz potem przeniosłem się na

parostatek. Bawiliśmy się rozmową. Szestiński opowiadał o przygodach swego życia, jak na maleńkim parostatku bez węgla odbył podróż z Mikołajewska do Władywastoku etc. Ja mu opisywałem wypadki i koleje, któreśmy przechodzili, następnie mówiliśmy o charakterystyce różnych partyi politycznych i społecznych i o wymaganiach partyi socyalistycznych. Wymagania socyalistów od swoich adeptów i od społeczeństwa są dziwaczne, powiedział. Socyalizm nasz to blaga, znam socyalistów wielu, każdy z nich pragnąłby bogatego dziedzictwa po rodzicach, a skoro tylko z nich który, godziwym czy nie godziwym sposobem dojdzie do mienia, otacza się żbytkiem, który gani u „Burżujów“ i tu cytował cały szereg swoich znajomych, którzy grali rolę socyalistów, zanim dorobili się majątków; byłem uprzednio gorącym zwolennikiem socyalizmu, powiadał, lecz dzisiaj wyrzekłem się go; tem zakończył naszą rozmowę, która zajęła cały wieczór. Szestiński miał na parostatku ładne fuzye i sztucery, lubił polowanie, miał przytem biblioteczkę z książkami treści historycznej, nautycznej, albo podróżniczej. Nie pił sam i pogardzał pijącymi, stąd z bratem swym był w niezgodzie.

Wypłynąwszy nazajutrz na morze, holował naszą szkunkę aż prawie do wejścia u zatoki Złotego rogu czyli wschodniego Bosforu, gdzie szkunka zarzuciła kotwicę, nie wchodząc dalej z obawy, ażeby nie obmarznąć w zatoce. Kapitana Höcka wziął na statek, następnie przewiózł nas na brzeg. Tu dodać muszę, że po dwóch dniach, gdyśmy załat-

wili nasze interesy, dał nam szlupkę, która nas odwiozła na szkunkę; znaleźliśmy jej boki już obmarzłe lodem, podjęliśmy kotwicę, rozpuściliśmy dwa jedyne na niej żagle i, mając pomyślny silny wiatr, jakkolwiek boczny, skacząc po bujnych falach, dopłynęliśmy szczęśliwie, do naszej ówczesnej siedziby przy zatoce Abrek. Później spotykaliśmy się parę razy z Szestińskim we Władywastoku, mieszkałem u niego parokrotnie. Po naszym już odjeździe z Syberyi słyszałem, że się ożenił Szestiński z panią Demidow, rozwiedzioną z człowiekiem, który będąc na urzędzie, za jakieś przewinienie został sądzony do katorgi. Dzieci z nią niema, lecz ma pasierbicę. Żona dla poprawy zdrowia wyjechała do Europy. Obecnie Szestiński piastuje wielce intratne miejsce policmajstra, które zajmował uprzednio Kisielewski. Dosyć powiedzieć, że tysiące Chińczyków, przyjeżdżających dla połowu „Kapusty morskiej“ i „Trepangów“ na wybrzeża morskie, obowiązani są płacić policmajstrowi we Władywastoku po rublu za wizytę paszportową, a ile do tego ma jeszcze innych dochodów, np. tak nazwane „tajnyje pabory“ — wszystkie one dostają się do kieszeni policmajstrów, otóż owe dochody uznają się zwykle za najzupełniej legalne, stąd też wszyscy urzędnicy, pełniąc czynność policmajstrów, mają się dobrze, oczywista rzecz, że wtedy, gdy w karty nie grają, lecz któryż to z Rosyan w karty nie gra? Sam Szestiński, jakkolwiek nie karciarz, a jednak zmuszony jest grać i przegrywać do rąk wyższych urzędników.

Władywastok, czyli Władca Wschodu, jak go szumnie nazwano, jest ślicznie położoną miejscowością, przy wielkiej zatoce „Piotra Wielkiego“, pod 43^0 szerokości. Właściwy port stanowi długa, cicha zatoka, zwana „Załatoj Rog“ t. j. Róg złoty, albo też inaczej Bosfor wschodni. Długość jej wynosi około 8 kilom., zaś szerokość od 2 do 3 i 4 kilom., głębokość od 9 do 24 metrów. W owe czasy, gdy jeszcze miasta tu nie było, góry wznoszące się amfiteatralnie, były pokryte śliczną drzewną roślinnością. Nawet jeszcze wtedy, gdym po raz pierwszy tu przybył, lasy imponowały swą pięknością i rozmaitością, obecnie świecą ruiną nagie góry. Zatoka zamarza na czas $2^1/_2$ do 3, albo nawet $3^1/_2$ miesięcy. Średnia roczna temp. ma wynosić tu około +4.5^0 C.? Tych kilka dat zawdzięczam Baronowi Korfowi, wprawdzie podawał mi je z pamięci, więc za ich dokładność ręczyć nie mogę. Rozpatrywałem kiedyś plan przyszłego miasta, kreślony przez jakiegoś fantastę, na nim były wytknięte ulice z nazwami, wziętemi ze stolic europejskich, były wyznaczone miejsca dla teatrów, dla dworców kolei żelaznych, dla uniwersytetu, biblioteki publicznej, dla pomników wielkich mężów i bohaterów — kiedy te marzenia ziścić się będą mogły? chyba wtedy, gdy konstytucya będzie nadaną ludom, a te pić przestaną i wtedy chyba, gdy Polska odzyska swą niepodległość.

(Dr. B. Dybowski — „O Syberyi i Kamczatce“ — Kraków, 1912.)

Spis rzeczy.

40 –